

Numer indeksu 37 1939 PL ISSN 0238-9045



Cena 7000 zł

POMIERANIA



NR 2 (226)

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUTY 1992



JĘZYK KASZUBSKI — ŻYWE CZY MARTWE CENTRUM? ● DZIECIĘCY BAŚNIOKRĄG
DWA ŻYWIOŁY W MAŁEJ OJCZYŹNIE ● NA GDAŃSKĄ MODŁĘ
Z KASZUB DO WOLNEJ EUROPY

PODCHORAŻÓWKA BĄDKOWSKIEGO

na górgo

Przed trzydziestu laty powstał Klub Studentów Kaszubów „Pomorania”. Jego twórcy, wśród których byli Lech Bądkowski, Izabella Trojanowska i Wojciech Kiedrowski, wychodzili z założenia, że dopływ nowych kadr do pracy w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim jest jednym z najpilniejszych zadań organizacji. „Pomorania” miała być — podkreślał to Lech Bądkowski — podchorążówką kształcącą przyszłych czołowych działaczy Zrzeszenia, zdolnych do programowania współczesnego ruchu kaszubsko-pomorskiego i sprawnego nim kierowania.

„Pomorania” była oczkiem w głowie Lecha Bądkowskiego. Rozumiał on być może lepiej niż inni, że zamykanie się w opłotkach małych aktualnych realiów jest zawężaniem własnej perspektywy, niedostrzeganiem potencjału historycznego i całego dziedzictwa cywilizacyjnego Pomorzan, a szczególnie Kaszubów. Dziedzictwo jest świadomością niedostatecznie odsłoniętą. Z emocjonalnego stosunku do niego powinno wypływać racjonalne postępowanie. W „Pomoraniu” młodzi mieli zdobywać wiedzę i wykorzystywać ją doświadczać w samym klubie, czyli w oparciu o nabyte wiadomości kształtować swoją osobowość, wykonując określone czynności na rzecz klubu i Zrzeszenia.

Na podchorążych — w zamyśle niektórych starszych działaczy, a szczególnie Bądkowskiego — czekały szlify oficerskie. Znaczyło to tyle, że w „Pomoraniu” młodzi osadzą się we własnym, bogatym świecie kulturowym, którego osnową będzie słowo, myśl i praktyka samorządnego działania. Że będą obywatelami świadomie związanymi z Pomorzem, dumnymi ze swej przynależności do Pomorza i Kaszub, dobrze zorganizowanymi wewnątrz i sprawnymi w życiu publicznym. „Pomorania”, a następnie działalność w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim, miały przysposobić młodych do pracy w samorządach i służbie terenowo — rządowej, w przyszłości oczywiście, żebyśmy wobec faktów dokonanych nie pozostali na jałowym gruncie. Bądkowski słusznie uważał, że tam, gdzie nas nie ma, nie możemy decydować o swoich sprawach. Dlatego tak konsekwentnie, być może niekiedy zbyt surowo, żądał od młodych właściwych postaw społecznych, jak punktualność, dotrzymywanie słowa, wykonywanie przyjętych na siebie obowiązków. I umiejętności wyboru. Powinni przypatrywać się innym, ale nie naśladować ich bezkrytycznie, kierować się własnym rozpoznaniem i własnymi przemyśleniami. Przyznawał młodym prawo do błędu, co w przypadku Bądkowskiego było wielkim ustępstwem, usprawiedliwiał je jednak przed sobą potrzebą uczenia ich samodzielności. Dopowiedzmy, że pod jego kontrolą.

Młodzi mieli się uczyć doskonalenia ładu demokratycznego w swoim klubie. Z tej małej komórki rozchodził się widok na ład państwowy, który oceniano krytycznie, ale aprobowano państwo jako organizację niepodległą. Bądkowski był klasycznym „państwowcem” i to pozytywnie zaważyło na postawach członków klubu. Dotrzegano jednak, że państwo będzie wtedy uporządkowane, kiedy ustanowione zostanie imperium iustum — sprawiedliwa władza na wszystkich szczeblach, wyłoniona w systemie demokratycznym. Dlatego trzeba nie tylko walczyć o coś, ale i sprzyjać czemuś, aby z czasem osiągnąć harmonię myśli i praktyki. Nie ma bowiem niczego gorszego niż życie w próżni. Doświadczenia ruchu kaszubskiego, z którymi się zapoznawano i więcej — studiowano je pilnie, wskazywały właśnie na ogólne wnioski, które podpowiadały właściwe postępowanie obywatelskie.

W „Pomoraniu” bywało różnie. Były wzloty i zahamowania w pracy, były też okresy, kiedy klub był jakby azylem Zrzeszenia podczas prób obcinania skrzydeł. Im bardziej władze polityczne przyduszały Zrzeszenie, tym żywiej działał klub. Szkoda tylko, że zamilowanie do przeciwności nie zostało w klubie przezwyciężone, że ucieczka w prywatność, z różnych powodów, była znaczna, a zwykły lęk polityczny też nie był obcy niektórym członkom klubu. Wybiły się jednostki, te nieliczne, które miały odwagę samodzielnie myśleć i to myślenie głośno artykułować. Dzisiaj to eksponowani działacze, którzy przy ogromnym szacunku dla Lecha Bądkowskiego w wielu sprawach potrafili się z nim nie zgadzać, nawet przeciwstawiać mu własne poglądy na sprawy kaszubskie i pomorskie. Bądkowski niejednokrotnie pieklil się z tego powodu, ale swoich racjonalnych oponentów w końcu cenil najwyżej. Sam był człowiekiem twardym i chciał, żeby inni też byli twardzi, chociaż nieraz z trudem polykał gorzką pigułkę, gdy młodzi wymykali się spod jego kontroli ideowej.

Zastanawiając się nad działalnością klubu „Pomorania” nie można mu odmówić znacznego dorobku w rozpoznawaniu spraw kaszubsko-pomorskich. Ale w długim okresie istnienia nie spełnił on w pełni pokładanych w nim nadziei i nie dostarczył Zrzeszeniu takiej ilości dobrych działaczy, jakiej oczekiwano.

Obrona dziedzictwa kaszubsko-pomorskiego i jego wzbogacanie jest wartością świętą, jednak tego dziedzictwa nie wolno selektywnie zamykać w ściśle wymierzonych ramach małej ojczyzny, bo ono zwiędnie. Dlatego potrzeba nam więcej ludzi z charakterem, zdolnych uczestników życia społecznego, którzy przerzedzą szeregi petentów wiecznie niezadowolonych z innych. Wciąż czekamy na oficerów, a choćby na podchorążych, bo na razie z podchorążówki wyszło najwięcej harcerzy.

Tadeusz Bohdan

POMERANIA

Nr 2 (225) Rok zał. 1963

GROMICZNIK 1992

Tadeusz Bolduan		Podchorążówka Bądkowskiego. <i>Na gorąco</i>
Józef Borzyszkowski	2	Kaszubi o sobie i swoim języku
Kazimierz Kossak-Główczewski	5	Czy chcemy się uczyć w szkole po kaszubsku?
Zdzisław Aleksander	8	Problemy kształcenia dzieci kaszubskich
Ryszard Ciemiński	10	Z Kaszub do Wolnej Europy
Stanisław Janke rozmawia z Włodzimierzem Szordykowskim	12	Model gdański
Henryk Galus	15	Społeczność Pomorza
Eugeniusz Gołąbk	18	Jak bëło, jak je? <i>Przëscyganie czasu</i>
Stanisław Pestka	20	Historie i mity
Marek Latoszek	25	Miasto Lębork i gmina Nowa Wieś Lęborska <i>Alfabet kaszubski</i>
Jerzy Łysk	27	Maleję kolebiónek; Odrzekni mie
Jerzy Samp	28	Dziecięcość po kaszubsku
Zbigniew Jankowski	31	Pacyfik dnia... Wyjście
Kazimierz Ostrowski	33	Podskacôł skrë kaszëbiznë
Edward Breza	34	Lipińscy i ich przydomki szlacheckie
Józef Borzyszkowski	37	Swarzewo czeka na monografię
Józef Borzyszkowski	37	Szczęśliwa Lubawa
	38	Klëka
	40	Dary
K.O.	42	Gniew. <i>Herby miast pomorskich</i>

Na okładce: Mumocz, linoryt Tomka ze zbioru „Stolemy”

WYDAWCA
Zarząd Główny
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
ADRES REDAKCJI
Targ Drzewny 3/7, 80-886 Gdańsk
tel. 31-71-33 i 31-50-41 w. 268
KONTO
PKO Gdańsk 19510-5890-132

REDAKCJA: Bogumiła Cirocka, Stanisław Janke, Stanisław Pestka
(redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji).
OPRACOWANIE GRAFICZNE: Arkadiusz Staniszewski. KOREK-
TA: Maria Szrajber. KOLEGIUM: Eugeniusz Gołąbk, Jerzy Kied-
rowski, Kazimierz Ostrowski, Maria Pająkowska, Wiktor Pepliński,
Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak.
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany
tytułów.
Druk: Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Prasowe, Drukarnia w Gdańsku



KASZUBI O SOBIE I SWOIM JĘZYKU

Truizmem dla niektórych może być stwierdzenie, że Kaszuby, Pomorze to kraj pogranicza, zamieszkiwany od wieków przez ludzi wielu kultur. Jednakże grupą decydującą o niepowtarzalności kaszubsko-pomorskiego świata i o jego miejscu we wspólnocie polskiej i europejskiej są Kaszubi i ich kultura. Rodzima ludność tej nadmorskiej ziemi, spadkobiercy i dziedzice olbrzymiej w przeszłości rodziny Słowian nadbałtyckich. Specyfika dziejów sprawiła, że przez wieki o Kaszubach, o ich świecie wartości, pisali i mówili najczęściej ludzie z zewnątrz. Niekiedy przygodni wędrowcy, czasami ciekawi kaszubskiego świata, wrażliwi humaniści, twórcy. Każde spojrzenie na Kaszubów i kaszubszczyznę jest dziś dla nas bezcenne i ma swój udział w naszych dokonaniach, w rozwoju kaszubskiego świata wartości, z językiem na czele.

Dziś Kaszubi nie mogą zanadto narzekać na brak zainteresowania ich dziejami. Przedmiotem szczególnego zainteresowania badaczy, swoich i obcych, profesjonalistów wysokiej klasy i amatorów nadrabiających braki wiedzy pasją i dociekliwością, jest fenomen językowy kaszubszczyzny. Cieszy nas fakt, że ciągle przybywa dzieł i rozpraw, esejów, prac przyczynkarskich analizujących przede wszystkim językowy status kaszubszczyzny, jej odmiennność, a także pokrewieństwa w ramach wspólnoty lechickiej, polskiej i z sąsiednimi grupami językowymi, by wymienić wspólnotę bałtosłowiańską. Od historyków, etnografów i językoznawców — tych szczególnie, możemy się sporo dowiedzieć. Badając żywą kaszubszczyznę korzystają oni także z różnych dokumentów i źródeł, zawierających ślady kaszubskiej tożsamości. Nie jest to dla niektórych zbyt wielkie bogactwo źródłowe, zwłaszcza to dokumentujące świadomość Kaszubów. Sądzę jednak, że od połowy XIX wieku, od Wiosny Ludów i działalności budziela ludu kaszubskiego Floriana Ceynowy, świadectw tych jest sporo i nieustannie przybywa. Pozostaje jedynie problem ich ogarnięcia, zrozumienia ułatwiającego pełniejsze poznanie i opisanie Kaszubów i ich — naszego świata w kolejnych epokach dziejów ludzkości. Przełomowe znaczenie w badaniach i odkrywaniu Kaszubów i kaszubszczyzny mają prace socjologów z ostatnich lat, które wspaniale uzupełniają, potwierdzają i korygują naukową i naszą samowiedzę o Kaszubach, która była i jest dotąd w dużej mierze przede wszystkim zasługą przedstawicieli innych dyscyplin humanistyki. Socjologowie właśnie podjęli pierwszy najbardziej metodyczny i systematyczny sondaż, rozpoznanie, co sami Kaszubi mają do powiedzenia, co sądzą o sobie i o swojej mowie, „co ją Põn Bóg dõł”. Jaka jest samoświadomość Kaszubów i jak kształtował się stosunek do własnego środka społecznej komunikacji dawniej a jak przedstawia się on dzisiaj. Badaniami objęto ludzi wszystkich żyjących pokoleń, a więc cały nasz XX wiek. Nie będę tu przywoływał obrazu tego socjologicznego rozpoznania. Jest on dostępny zarówno w monografii

„Kaszubi”, jak i w licznych publikacjach, choćby na łamach „Pomeranii”. Nasz miesięcznik jest szczególnym dokumentem zachodzących przemian i skarbnicą informacji o tym, jak Kaszubi widzieli siebie i swój język dawniej i dziś.

Badania socjologów potwierdziły, że mowa, język jest dla Kaszubów wartością najbardziej znaczącą, decydującą o kaszubskiej tożsamości. Wiemy też, że językowe dziedzictwo i literatura kaszubska są zwierciadłem duszy kaszubskiej. W nich znaleźć można i to, co sami Kaszubi myślą o sobie, o swoim języku. Sądzę więc, że niezależnie od rozpoznania socjologów, można odwołać się do wypowiedzi innych autorów, wywodzących się z Kaszub, którzy odnoszą się do rodzimego tworzywa językowego jako istotnej wartości. Świadectwa i charakterystykę ludzi, wypowiadających się w rodzimej mowie z pozycji jej zwykłych użytkowników znaleźć można także w rozmaitych pismach i gazetach. Wreszcie źródłem wiedzy o traktowaniu bogactwa językowego Kaszub przez ich rdzennych mieszkańców są potoczne obserwacje, przegadane, zasłyszane opinie lub oceny popularności i żywotności języka. Suma tych różnych zachowań wobec własnego dziedzictwa językowego pozwala na uchwycenie głównych tendencji, decydujących o tym, jakie miejsce w systemie wartości Kaszubów zajmuje kaszubszczyzna.

Moje spojrzenie na tę kwestię nie aspiruje do ogarnięcia całości tego złożonego problemu. Są to raczej luźne uwagi, refleksje i wnioski jednego z Kaszubów. Nie będę więc nadużywał autorytetów i opinii najwybitniejszych Kaszubów, częstokroć mistrzów języka kaszubskiego, w tym poetów i pisarzy. Korzystając z pomocy, refleksji jednego z nich, najwybitniejszego z współczesnych twórców literatury kaszubskiej — Jana Zbrzycy, czyli Stanisława Pestki, spróbuję w oparciu o własne doświadczenia odpowiedzieć na pytanie, jaki był, jest stosunek Kaszubów do rodnej mowy.

Jest takie pojęcie jak obserwacja uczestnicząca, co oznacza, że badający, poznający jakąś rzeczywistość, wtapia się czy zanurza w niej, aby tym lepiej ją poznać.

Wiedząc o tym nie zwracamy natomiast bardzo często uwagi, że to uczestniczące obserwowanie jest zarazem współtworzeniem rzeczywistości. Jeśli o mnie chodzi, to niejako na mocy rodowodu kaszubskiego jestem przypisany do żywiołu mowy kaszubskiej. Myślę, że ludzie stąd, dla których Kaszuby nie są tylko pojęciem geograficznym, zwracając uwagę na kalejdoskopową różnorodność swej mowy, w każdej jej odmianie odnajdują siebie i swój kaszubski, najbliższy świat wartości.

Dla przybysza z zewnątrz, dalekiego od wnikania w subtelności i zawiloci kaszubskich dziejów i języka, gwary Belków, Gochów, dźwięczą dość egzotycznie lub wręcz dziwnie, niekiedy obco. Mieszkaniec Chmielna od razu wyczuwa różnicę między jego odmianą gwarową a tą, którą posługują się rybacy helscy.

Kaszubi należący do kręgu działaczy zrzeszeniowych bardzo często umieszczają zjawiska językowe w perspektywie historycznej. Tutaj trzeba przywołać Jana Trepczyka, Ferdynanda Bieszkę, Feliksa Marszałkowskiego, którzy nieraz podkreślali, że mowa nasza wywodzi się z pradawnych czasów, że zaszyfrowane są w niej ważne doświadczenia. Jest w niej coś sakralnego, co znajduje wyraz choćby w stwierdzeniu ks. prał. Franciszka Gruczy: „Ta mowa starków je swjętô, tĕmu tĕż ě Bóg belnô rozmiĕje po kaszĕbsku”. Ilustracją dystansu człowieka wobec tego, co napenia go lękiem lub go nieskończenie przerasta jest swoista metonimia — zamienianie słów. W pospolitym odczuciu termin językowy — słowo i rzecz to prawie jedność. Stąd inklinacja do zastępowania właściwej nazwy określeniem niby mylącym, a raczej łagodniejszym. Dla przykładu: piecielnik a nie diôbel, biôłô zamiast śmierć.

W świadomości zwłaszcza młodego pokolenia Kaszubów postacią już na polu mityczną jest Florian Ceynowa. A cóż dopiero Szymon Krofey i Michał Pontanus, którzy kojarzą się ze słowem, z pierwocinami kaszubskiego słowa. Jeszcze dziś imponuje walka demokracji Ceynowy o nobilitację języka kaszubskiego, gdyż stanowi on klejnot, co prawda niedoceniony czy wręcz pogardzany. Teza doktora Floriana, raczej intuicyjnie postawiona, o niewątpliwiej odrębności językowej kaszubszczyzny, dziś została przez wielu liczących się językoznawców zaakceptowana. Ważniejszą wszakże do uznania statusu kaszubszczyzny przez „uczonych w piśmie” była w oczach Ceynowy jej pozycja i ranga w świadomości ludu. Toteż domagał się on, by tego bogactwa nie zmarnować: „Ju je wiôłdzi czas, abĕ żôden Kaszĕba sĕ nie wstidzĕł po kaszĕbsku gôdac”. Zawzięcie też polemizował z tymi, którzy nazywali kaszubszczyznę zepsutą polszczyzną. Wyraźniejszy przełom w stosunku do własnej tradycji językowej wiąże się z nazwiskiem Hieronima Derdowskiego. Poruszył on czułą strunę miejscowego odbiorcy. W krotokwilnej formie, nie unikając zgrzebanej rubasznosci, nakreślił szkicowo duchowy portret Kaszuby, bardziej troszcząc się o wiarygodność psychologiczną niż o głębię myślową. „Czôrlinści” i inne jego poematy udowadniały, że możliwe jest osiągnięcie kunsztu artystycznego w literackiej kaszubszczyźnie. Dalszego zwrotu, w kierunku jeszcze pełniejszego utożsamienia się Kaszubów z duchową biografią kaszubskich bojowników idei, dokonał twórca epopei „Żecĕ ě przigodĕ Remusa” — Aleksander Majkowski. O sukcesie dzieła przesądziło przede wszystkim piękno oryginalnego kaszubskiego języka. Znamienne, że po dziś dzień jest to dla wielu młodszych adeptów sztuki pisarskiej i punkt odniesienia i wzór godny naśladowania. Rzeczywiście, jakaś magnetyczna siła i dziś promieniuje z „Remusa”, skoro dla jego recepcji potrzeba jakiejś szczególnej atmosfery i oprawy, co potwierdza nie tylko czytanie fragmentów „Remusa” w blaskach wieczornej zorzy, przy ognisku na trasie spływów kajakowych, organizowanych przez klub turystyczny pod auspicjami „Pomeranii”.

Ow nacechowany pietyzmem stosunek do rodzimego

słowa krzewili poeci, działacze kaszubszy, m.in. skupieni w piśmie „Zrzesz Kaszĕbskô”. A więc nasz język jest nie tylko sposobny do wyrażania stanów duchowych, ale odznacza się swoistą urodą. I ta uroda staje się z kolei przedmiotem podziwu, zachwytu i kontemplacji. Najdobitniej wyraża to znany, piękny wiersz Jana Trepczyka poświęcony właśnie mowie kaszubskiej:

Tczewôrtnô ěs, jak dziejów duch,
Co w tobie sĕ przezĕrô
Bo slôdĕ wdôr i rodný chuch
Wspól z tobą umiĕrô.

Tczewôrtnô ěs, jak naji gôn
Do widu ě do slũnca.
Tĕ szĕrok mdzĕsz brzĕmnia, jak zwôn,
Na wiedno ě bez kuńca.

Skażonã miôł ě, wĕj, cĕzyńĕ,
I znikwic chcôł do nĕdzi,
Le mĕ cĕ dômĕ w pałac przinĕ
I w piĕrszĕ sadnãc rĕdzi.

O, mowa starków! Nad twój zwĕk
Nick lepszĕgo nicht ni mô!
Jô lubię ě, môm o ě lĕk,
Ce stradĕc strach mie zjimô.

Jô ukochôł ě jak no brat
Widzałosc zaczarzonã,
Od małoscĕ do stôrĕch lat
Jes dlô mie namienionã.

W ě dĕch, zarzekłô dĕsza ě
i serca naji lĕdu.
Zĕ zgardĕ mĕ ě dwigniĕmĕ,
Rozwicô doždôsĕ cĕdu.

O, mowa starków! Mĕ ě w strôj
Obleczemĕ buszny,
Żĕ mdzĕsz sklĕnia jak gwiondzów trój
Jak slũnca wid pĕszny!

(Kaszĕbskô mowa)

Jakże inna jest dziś rzeczywistość kaszubszczyzny niż wtedy, gdy ten hymn miłości do niej tworzył Jan Trepczyk. Jakże wiele powodów do dumy, radości, do zwiększonych wysiłków, nadziei i wiary w jej i naszą twórczą moc. W rezultacie zupełnie inne, dalekie od elegijności wcześniejszych poetów, tony pojawiają się we współczesnej rodnej poezji:

Słowo urodzone z mólczĕnigo
Starków rosce we mnie
Diôbelscĕ kamĕ ju nie rozmiĕja
Zgasĕc Ormuzdowi skrĕ.

Bucha bije z tych słów stanowiących fragment wiersza Stanisława Jankego. Podobnych wyznań, tworzących cały wachlarz pochwał walorów rodzimego słowa, jego rozlicznych zalet i wartości, z łatwością można się doszukać u innych twórców. Wielu spośród nich nie musi już walczyć z fatalną spuścizną w postaci tradycyjnego kompleksu niższości, który jeszcze, niestety, pokutuje i daje o sobie znać nawet u wykształconych naszińców. Na konto plusów starszej a także młodszej generacji twórców można zapisać konstruowanie w miarę jednolitego, bogatego języka wypowiedzi literackiej. Z różnych subregionalnych aromatów i klimatów językowych, zróżnicowań gwarowych powoli tworzy się wielobarwny język literacki. Stosowny byłby tu niemiecki termin: „gehobene Sprache” — podniosła mowa. Bywa tak, że drażni ona i zastanawia tych, którzy na co dzień obcuja tylko z bardzo uproszczoną wersją codziennej mowy, nie sięgającej wyżej jak „od sĕczka do sĕczka, od błotka do

blotka". Czy do tych ludzi można mieć zasadnicze pretensje? Przecież kaszubszczyzna kojarzyła im się głównie z rubasznnością. Jeśli już coś na pokaz to „lěno kask do śmiechu”.

Śmiech i karnawałowe fifę mają w ustnej tradycji Kaszub poczesne miejsce, czego dowodem choćby patronat nad konkursami gawędziarskimi w Wielu, corocznie organizowanymi, przy tłumnej widowni, przez Wojewódzki Ośrodek Kultury w Gdańsku. Do bardziej emocjonalnego odbioru kaszubskiej twórczości, zawartej w słowie, przyczyniają się nie bez wątpienia dość liczne u nas zespoły pieśni i tańca, paradujące w strojach regionalnych. Odbiorcy z aplauzem przyjmują występy podbudowujące dumę etniczną. Ale bardzo często na tym kończy się spontaniczny zryw. Wyczuwamy, że gdzieś tu brakuje ważnego ogniwa. Po prostu przerwano ciągłość przekazu tradycji. Smutne, że do tego dzieła poważnie przyczyniła się szkoła na wszystkich poziomach, która w ciągu niemal całego czterdziestolecia edukacji skutecznie trzebiła i rugowała u dzieci mowę starków. Pewnych strat, z których dobrze zdają sobie sprawę członkowie Zrzeszenia, nie da się już odrobić. Ale liczymy na przypływ zainteresowania i gotowości obrony językowych skarbów kaszubszczyzny zarówno wśród samych nauczycieli, jak i rodziców. Są takie szkoły, jak np. w Głodnicy, Stężycy czy agendy zrzeszeniowe, które krzewią w swoich środowiskach wartości mowy swojskiej i co ważniejsze ich praca spotyka się z coraz żywszym oddźwiękiem.

Wydawało się, że tam, gdzie prawie „Kaszub kuńc”, pod Chojnicami, prawie na styku Kociewia i Krubanów, czyli w Brusach, społeczność jest tak spolszczona, że archaiczna mowa nie znajdzie sympatyków i obrońców. Tymczasem właśnie w Brusach, dzięki postawie rodziców, uczniów i pedagogów miejscowych, doceniających kaszubską spółkowiznę, powstało pierwsze na Kaszubach Liceum Kaszubskie. A więc ziściło się marzenie społeczników zrzeszeniowych. Praca biotkarzy od lat kruszących kopie o tzw. regionalizację nauczania w szkołach, praca członków Komisji Oświatowej przy Zarządzie Głównym, wydaje owoce. Nawet co bardziej sceptyczni Kaszubi wierzą, że unikniemy najgorszej ewentualności, której nie chciał do siebie dopuścić pisarz tej miary, co Jan Karnowski:

Jo bëm lěno chcōł,
żebë twoji mowë,
co ję Pon Bóg dōł
Nie przekrëłë grōbë.

A jednak, pomimo że liczba twórców posługujących się kaszubskim jest wcale pokaźna, nie przestaje tychże twórców przesładować, może to za mocne słowo, nawiedzać widmo pustej nocy. Czyli metaforycznego requiem odprawianego nad martwym, niby język jakichś Etrusków, językiem kaszubskim. Wiara w zwycięstwo nad tym i innymi widmami bije z wiersza Alojzego Nagla „Nie spiwōj pusty nocë”, zarazem słów pieśni do muzyki Jana Trepczyka:

Nie spiwōj pusty nocë
Z daleka męrgō wid,
Kaszëbskō mōwa snōżō
Jesz lepszëch dōżdō dni.

Jak wōjōrz stoją z barnią
Przez dłuđzi, dłuđzi cżad
I barnia wiōłdzi karna
Słowiańszczëch stōrëch słów.

Kaszëbskō mōwa nasza
Je pësnō tak jak zymk
Ju dzys sa nie urzasna
Że straca snōżōsc jı.

Choc krëkwë są i chaje
O dërzko stoi dąb

Choc szor żalobno graje
Nie uzdrzy chdze jı grōb.

Sądzę, że wraz z A. Naglem możemy przyjąć, że ów wid jest tu, wśród nas, że już dziś kaszëbsko mowa naszō dōżdō lepszëch dni, a na jesz lepszë ni możemë czekać le musimë robic swoje... Co prawda Tadeusz Lipski z Wielą pociesza, że kultura kaszubska jest tak dynamiczna i bogata, że i bez języka, gdy go zabraknie, zapewni dostateczną ilość twórczych impulsów, koniecznych do zachowania własnej tożsamości. Wydaje się to mocno wątpliwe. Jeśli poeta kaszubski mówi, że najprawdziwszą ojczyzną twórcy jest język, to oczywiście nie znaczy, że każdy musi się z tym zgodzić. Ale coś w tym jest, jeśli ten filar, jaki stanowi mowa obróci się w gruzy, to i cała budowla będzie zagrożona.

Nadzieja w młodym pokoleniu. Czy pewna? Czy ci piastunowie, do których tak gorąco i serdecznie zwracał się autor monumentalnego, nieocenionego dla kaszubszczyzny i Kaszubów „Słownika gwar kaszubskich”, ks. Bernard Sychta, czy oni zechcą wystąpić w roli piastunów rodnej mowë? Ich rodzicom bardzo by na tym zależało. Cóż, kiedy rzeczywistość skrzeczy. Dlatego też wielu starszych przeżywa rozterki, ich dzieci — zwłaszcza dotyczy to dzieci z inteligentnych domów — nie mówią już językiem starków, czasem tylko językiem dziedzictwa ojca czy matki. Nie brakuje wspaniałych wyjątków, ale nie wszyscy znajdują w sobie siłę Remusową, by pokonywać „Strach, Trud, Niewōrto”. Zławsza ta ostatnia zjawia — „Niewōrto” jest zbyt powszechna.

Jednakże obok poczucia zagrożenia, obok przykładów niby potwierdzających tezę sprzed I wojny Konstantego Kościńskiego „Kaszubi giną” jesteśmy uczestnikami wydarzeń, procesów, zjawisk budzących nadzieję, tworzących ów „wid”, który dwadzieścia lat temu zauważył nie tylko A. Nagel. Powtarzam raz jeszcze, że w porównaniu choćby do lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, „Kaszëbskō mowa naszō ju dzis doczeka sę lepszëch dni”. Te lepsze dni rodzą się nie tylko w środowiskach twórczych czy uczonych. Ich działalność jest dziś, w różnych ośrodkach z Gdańskiem na czele, kontynuowana z większym rozmachem. Myślę też o tych piszących po kaszubsku i tworzących wzorce, od lat spotykających się na seminariach kaszubskich w Łączyńskiej Hucie.

Warto też więcej pamiętać o samorodnej twórczości choćby ludzi teatrów kaszubskich — np. Renuszów ze Strzelna, Kotłowskich — Krośnickich z Luzina, Bronisława Bigusa z Koloni, szkolnego i księdza Antoniego i Aleksego Peplińskich z Mściszewic, jak i o ambasadorach kaszubszczyzny — zespołach takich jak „Krëbane”, „Hopowanie” i ich siostrzanych zespołach pracujących na całych Kaszubach, popularyzujących także najpiękniejsze perełki poezji kaszubskiej.

Dokonania mestra Jana Trepczyka dziś stanowią podstawowy kanon wartości języka i piękna kaszubskiego świata. Jeśli jeszcze uwzględnimy sakralizację kaszubszczyzny dokonującą się także w Kościele i kasety z nagraniami słowa i pieśni kaszubskiej, to wówczas ów niepokój, poczucie zagrożenia, wyrażane coraz częściej także przez takich ludzi, jak gbur z Lipuskiej Huty, Bolesław Jażdżewski, możemy uznać jako jedno ze źródeł nadziei na przetrwanie i rozwój bogactwa duchowego ludzi tej ziemi. Sądzę, że i „Problem statusu językowego kaszubszczyzny” dla nas Kaszubów pozostanie liczącym się faktem w pozytywnych działaniach własnych i przyjaciół kaszubszczyzny na rzecz nie tylko jej ratowania, ale i rozwoju. Wszystko się liczy! Jednak o ile kiedyś niektórzy Kaszubi sądzili, że los kaszubszczyzny zależy bardziej od tych, co są „panami”, obcymi, to od dziesięcioleci zdajemy sobie sprawę, iż w odniesieniu do dziejów Kaszub i przyszłości kaszubszczyzny najważniejsza jest aktywna postawa nas samych — Kaszubów. Tych z krwi i gnōta, jak i tych ze świadomego wyboru.

CZY CHCEMY UCZYĆ SIĘ W SZKOLE PO KASZUBSKU?

Próba podsumowania ANKIETY

*Język jest wszechobecny, wszystko, co domniemane,
da się zasadniczo powiedzieć.*

H.G. Gadamer

Do końca września 1991 roku pod adres redakcji wpłynęło kilkanaście, różnej objętości, odpowiedzi na pytania ankiety „Czy chcemy się uczyć w szkole po kaszubsku?” (Pomerania 1991, nr 1-2). Jako autor ankiety spróbuję podsumować jej wyniki i zastanowić się nad kondycją edukacji regionalnej.

Ankieta objęła swym zakresem dużą ilość osób, albowiem częstokroć jedna wypowiedź zawierała informacje od całych grup społeczności lokalnych. Tak jest szczególnie w przypadku wypowiedzi nauczycieli: Witolda Bobrowskiego, Damroki Kamińskiej i Wandy Kiedrońskiej. Ta ostatnia przesłała wyniki wywiadów przeprowadzonych z rodzicami i uczniami klasy ósmej.

W zebranych do tej pory materiałach dają wyodrębnić się wyraźnie trzy kategorie osób udzielających odpowiedzi na pytania. Wymienieni już nauczyciele, których nazywam sprawozdawcami, przeprowadzili oni bowiem własne badania nad poruszonym problemem języka kaszubskiego w szkole, rodzice oraz uczniowie.

Uzyskane wyniki badań nie tyle świadczą o opinii na poruszony temat, te bowiem znamy z wielu publikacji, chociażby z „Alfabetu kaszubskiego” Marka Latosza, co o stosunku do możliwości decydowania o sobie i swoim losie, a głównie o własnej edukacji.

Należy podkreślić, iż wśród otrzymanych odpowiedzi nie było ani jednej od nauczycieli — przeciwników nauczania języka kaszubskiego, a przecież wiadomo, że właśnie oni w przytłaczającej większości są przeciwnikami edukacji etnicznej. Nauczyciele — sprawozdawcy potwierdzają tę opinię. Zreferujemy najpierw ich spostrzeżenia.

Opinie o stosunku nauczycieli do języka i kultury kaszubskiej przedstawiają wypowiedzi Witolda Bobrowskiego i Damroki Kamińskiej. Bobrowski pisze: „Z rozmów prowadzonych w środowisku wynika, że najbardziej przeciwni obecności języka kaszubskiego w szkole są nauczyciele. Wynika to zapewne ze strachu przed nieznanym i obawy przed koniecznością opanowywania wiedzy o przedmiocie. Niewielu nauczycieli interesowało się dotąd językiem kaszubskim i literaturą kaszubską. W większości są oni analfabetami (...). Wielu obawia się

utruty autorytetu przez zrównanie języka urzędowego jaki jest polski, z językiem gminu, pisząc: „przerażają mnie opinie ludzi światłych, bo do takich zaliczam nauczycieli, twierdzące, że nauka gwary (!) w kaszubskiej szkole jest bezcelowa”. Powiada następnie: „Uważam, że niechęć, do języka kaszubskiego bierze się z zaszczości i niewiedzy. (...) Największy opór przed wprowadzeniem języka kaszubskiego do szkół stawiają, niestety (choć nie wszyscy) nauczyciele”.

Jakie jest źródło takiej oceny języka kaszubskiego przez znaczną część nauczycieli, w większości pochodzenia kaszubskiego? Problem językowy znany jest przecież wszystkim nauczycielom z praktyki szkolnej. W 1991 roku odbyło się kilkanaście spotkań metodycznych z różnymi zespołami nauczycielskimi z terenu Kaszub, które poświęcone problemom regionalizacji nauczania, w tym nauczaniu języka etnicznego. Czym argumentować można tę pasywną postawę? Myślę, że dopuszczalne może być stwierdzenie, iż jest to symptom głębokiego gwałtu symbolicznego zadanego wcześniej. Jego następstwem jest całkowity brak aktywności, w tym także zanik aktywności do otwartego sprzeciwu, czego dowodem jest choćby brak odpowiedzi przeciwników nauczania etnicznego. Jak powiada Pierre Bourdieu i komentująca go Anna Sawisz w pracy pt. „Reprodukcja. Wprowadzenie do teorii nauczania”, „to ogół wyspecjalizowanych funkcjonariuszy systemu (nauczycieli) jest zniechęcony przez warunki instytucjonalne do wykonywania pracy szkolnej heterogenicznej (różnorodnej) i heterodoksyjnej (nieortodoksyjnej), niezgodnej z funkcjami reprodukcji (odtworzenia przemocy przez oświatę), albowiem tracą oni wtedy swoje uprzywilejowane miejsce jako nieomylni przekazicieli kultury legalnej. Każde działanie oświatowe stanowi bowiem obiektywną przemoc jako narzucenie przez arbitralną władzę, arbitralności kulturowej”. Nau-

czanie, przez sam fakt nadawania, legalizuje treści nauczania. W ten sposób tworzy się tak zwana „kultura oficjalna” (legalna). Nadawana jest ona przez władzę (ministerialne programy nauczania). Pozostała kultura, czyli ta, która nie jest nadawana oficjalnie, staje się „kulturą nielegalną”. Przekazywanie treści etnicznych przez czterdzieści pięć lat było zakazane, czyli nielegalne. Nauczyciele uwierzyli, że są one gorsze, trywialne. Stąd bierze się ich silny, nieświadomy opór. Środki zniechęcania nauczycieli były i są różne: m.in. podręczniki szkolne, programy nauczania, instrukcje dla nauczycieli, obowiązująca metodyka, system organizacyjny nauczania w klasach i na lekcjach, podporządkowanie nauczania absurdałnej wszechwiedzącej biurokracji a nie współpraca z rodzicami itp. Zajęcia z kultury kaszubskiej należą bowiem, z perspektywy funkcjonariuszy oświaty, do innego repertuaru, innego świata, prowadzą do załamania dotychczasowej niepodważalnej funkcji reprodukcji przemocy. Różnorodność chociażby tylko w treściach kształcenia jednego przedmiotu nauczania — kaszubskiego, podważa już funkcję przemocy symbolicznej. Nauczyciele ci, zniewoleni przez władzę, zidentyfikowali się ze swą rolą, albowiem najsilniej ulegli jej przemocy. Jednorodna, czyli na ten sam temat, i jednokierunkowa do tej pory komunikacja szkolna, istotna dla usankcjonowania przemocy, zostaje według nich zaburzona przez zajęcia etniczne. Tak można w świetle teorii reprodukcji interpretować negatywny stosunek nauczycieli do języka kaszubskiego, jak i do zmiany w ogóle.

Interesujące spostrzeżenia na temat oceny szkoły, jej niezdolności do zmiany, możemy odnaleźć w wypowiedziach rodziców, a także uczniów. Problem ten ujawnia się m.in. w takich stwierdzeniach: „osoby na stanowiskach kierowniczych potrzebują choćby niewielkiego impulsu zmuszającego je do zainteresowania się ponadobowiązkowymi sprawami”. Z wypowiedzi tej — ojca — wynika, iż ma on świadomość rutyny i pasywności tkwiącej w szkole, proponuje jednak — w dalszym toku argumentacji — stare rozwiązania, a mianowicie, poprzez przemoc symboliczną (której wynikiem jest m.in. pasywność) nieświadomie zastępuje nową, oddając ją w ręce innej władzy. W ten sposób tworzy się błędne koło niemocy prawdziwej zmiany szkoły.

Ta trudna sytuacja odnajdywania formuły edukacyjnej dla języka kaszubskiego w szkole przewija się w wypowiedziach wielu rodziców. Interesujące jest to, że jednogłośnie akceptują oni kaszubszczyznę jako wartość podkreślając, że kultura zanika i dlatego należy zrobić wszystko aby przetrwała. W większości przypadków szansę naprawy widzą jednakże w... szkole, która jako jedyna, według nich, może przenieść język kaszubski do pokoleń następnych. „Jeżeli nie będzie języka w szkole to kaszubszczyzna zginie” — piszą. „Poprzez nasze dzieci język trwały” — dodają.

Zauważamy, że w stosunku rodziców do szkoły istnieje swoiste rozdarcie wewnętrzne, a nawet sprzeczność. Obserwują oni bowiem w życiu społecznym, iż postęp, nowe czasy, chęć posiadania dóbr cywilizacyjnych, wypędzają język kaszubski z domu jako coś przestarzałego, ale jednocześnie ratunek przed jego zanikiem widzą w szkole i w swoich dzieciach, a nie we wspólnocie rodzinnej budowanej chociażby w części na wartościach etnicznych. Szansę przetrwania kultury etnicznej odnajdują w instytucji, która walczy przyczyniła się do niszczenia języka i kultury kaszubskiej, ba, która ich ośmieszała za inność. O której wiedzą, że prowadzi, jak pisze Bobrowski, do strasznego „szoku językowego”. „Jô nie chcę żebê ono miało tak lëcho w szkole jak jô” — ta wypowiedź jest usprawiedliwieniem przed sobą, dlatego w domu z dziećmi nie mówi się po kaszubsku. Szkoła zadaje więc gwałt, a odpowiedzią jest poddanie się, nie opór. Tylko dwoje

rodziców nie chce, aby ich dzieci uczyły się w szkole po kaszubsku, ponieważ przysporzy to, jak mówią, „więcej kłopotów w nauce”. Do minimum zatem należy obciążyć uczniów od nowych kłopotów. Ostatni z cytowanych rodziców kończy swoją wypowiedź następująco: „Jeszcze nie tak dawno (...) zabraniano mówić po kaszubsku na lekcjach”.

Można te wypowiedzi komentować następująco: ujawniają one uzależnienie myślowe od szkoły, od jej struktury, organizacji. Musi być taka, jaka jest. Zauważamy więc, że rodzice mają trudności z wyobrażeniem sobie szkoły nowej, własnej, czyli szkoły wolnej. Odczuwają niezadowolenie i rozczarowanie istniejącą szkołą, rozpatrują ją z perspektywy złej konieczności, a nie z perspektywy satysfakcji płynącej z poznawania poprzez nią świata i możliwości własnego i ich dzieci rozwoju. Nie chcą, aby dzieci przeżywały przykrości w szkole w związku ze swą kaszubskością. Dlatego tak często i dziadkowie mówią do swych dzieci i wnuków po polsku, niszcząc w ten sposób, co sami w wypowiedziach przyznają, własną kulturę. Nie chcą bowiem, aby ich dzieci zasiłły szeregi „wykluczonych kulturowo”. Jednocześnie w tychże dzieciach widzą jedyną szansę na ratunek kultury (etnicznej), odnajdują w nich własną przyszłość kulturową. Myślą, że ich dzieci naprawią to, co oni sami zepsuli, ulegając w przeszłości naciskom władzy i źle rozumianemu postępowi.

Negatywna opinia rodziców o szkole powstała, jak myślę, poprzez dokonywanie przez nią ciągłego gwałtu na uczniach — aktualnych rodzicach. W wypowiedziach wyczuwa się ciągły respekt przed szkołą, jej sztucznym autorytetem. Jednym z następstw owego gwałtu, fałszywego autorytetu, jest utrwalenie w opinii publicznej przekonania o słuszności szkoły i jej niezbywalności w życiu. Zauważamy, iż szkoła sama produkuje potwierdzenia sensu swego istnienia poprzez wpajaną przez pokolenia przemoc; owocują tu także tradycje szkoły pruskiej.

W odróżnieniu od rodziców, uczniowie bardziej spontanicznie akceptują język kaszubski w szkole, mówią: „Język kaszubski w szkole jest bombą”, „lekcje te będą ciekawsze, bardziej swojskie”, „myślę, że uczyłoby mi się łatwiej”. W tych emocjonalnych wypowiedziach odnajdujemy dwa ważne aspekty: wyczuwaną przez ucznia obcość kulturową szkoły, która wyraża się traktowaniem „kultury legalnej” jako nieswojskiej („lekcje byłyby bardziej swojskie”), a „kultury nielegalnej” jako swojskiej. Aspektem drugim jest sygnalizowany przez uczniów problem dwujęzyczności, której nie uwzględnia szkoła: „uczyłoby mi się łatwiej” — powiada uczennica z klasy ósmej i nie jest to jedyna wypowiedź tego typu. Dobitnie wyraża ten problem dziewczętnastolatek ze szkoły średniej, zwolennik kaszubszczyzny na wszystkich szczeblach nauczania, który pisze: „Poprawność polszczyzny zostałaaby osiągnięta poprzez wyraziste rozgraniczenie tych języków w świadomości ucznia” (list nie został opublikowany, albowiem jego autor nie podpisał się, pozostał anonimowy).

Rodzice w edukacyjnych propozycjach prezentują rozwiązania umiarkowane. Są zwolennikami wyodrębnienia przedmiotów nauczania w kaszubszczyźnie, a nie łączenia nauki kaszubskiego z niektórymi już istniejącymi przedmiotami. Uważają, iż w praktyce nauczanie powinno być obowiązkowe (prawdopodobnie obawiają się, że ich dzieci przestaną uczęszczać na te zajęcia nie z winy treści, lecz metody), są jednocześnie zwolennikami wolnego wyboru w zakresie decyzji uczenia się języka kaszubskiego. Zwracają uwagę na sytuację nie-Kaszubów. Godzą się, szczególnie widoczne jest to w gminie Linia, na inne, nie szkolne traktowanie nowych zajęć: „Intencją naszą jest nie obciążać dzieci dodatkową nauką, nie stresować ocenami” — powiada nauczyciel sprawozdaw-

ca. Wśród przedmiotów specjalnie predysponowanych do posługiwania się na nich językiem kaszubskim rodzice i dzieci wymieniają najczęściej historię oraz język polski, lub specjalne lekcje kultury i historii kaszubskiej.

Należy jeszcze raz podkreślić, iż swoje poglądy w kwestii językowej młodzież wyraża bardziej spontanicznie i otwarcie niż rodzice, można to wytłumaczyć tym, iż znikomy jest w jej przypadku wpływ przemocy symbolicznej na myślenie. Młodzież jest gotowa do komunikacji i dialogu, język jest dla niej medium poznawania i wymiany myśli oraz rozumienia. Doskonałym przykładem tej tezy jest wypowiedź Joanny Lewny, uczennicy IV klasy szkoły podstawowej mieszkającej w Łączyńskiej Hucie. Uważa ona, że wokół niej istnieją ludzie mówiący po kaszubsku i należy ich rozumieć rozmawiając z nimi w tym języku. Swoją list kończy następująco: „A poza tym mieszkam na Kaszubach, więc powinnam język kaszubski znać”.

Nie twierdę, że zaprezentowany tu sposób interpretacji wyników ankiety jest pełny czy jedyny, ale gdy myślę o uzyskanych wynikach, to muszę dopuścić myśl taką, że oto jesteśmy, nie tylko na Kaszubach, w sytuacji kryzysowej, gdy oba „pokolenia czują się bardzo samotne, a uczuciu temu nie można zaradzić”. Dotychczasowe świętości okazały się mistyfikacjami, pozorami, namiastkami sensu życia. Myślę wtedy podobnie jak cytowana przed chwilą Margaret Mead w pracy „Kultura i tożsamość. Studium dystansu międzypokoleniowego”, która powiada, że aby zrozumieć młodych, nie możemy odwoływać się do swojej młodości, która była m.in. naszą zgodą na pozbawienie nas kultury etnicznej, ta nasza postawa nie jest przykładem dla młodych. Musimy im zaufać, przestać ich pouczać, albowiem „rozwój kultur (...) zależeć będzie od tego, czy uda się nawiązać dialog z młodym pokoleniem, i czy pokolenie to, mając możliwość działania wedle swojej woli, potrafi poprowadzić starszych w stronę nieznaną nam przyszłości”. Sądzę, z dużym przekonaniem, że ta interpretacja Mead jest w przypadku naszych analiz prawdopodobna, nie mamy bowiem innego wyjścia — musimy zaufać młodym szczególnie, gdy uwzględnimy nadzieję rodziców pokładaną w dzieciach w utrzymaniu przez nie ciągłości dziedzictwa. Rodzice bowiem, tak twierdząc dowodzą, że nie ufają już sobie.

Cechą wyróżniającą niektóre listy jest ich charakter wielopokoleniowy, tzn. do listów dzieci, do ich stanowiska w sprawie nauczania języka kaszubskiego w szkole, dopisują swoje uwagi rodzice; pojawiają się tutaj niekiedy rozbieżności poglądów. Tak jest w kilku przypadkach odpowiedzi otrzymanych za pośrednictwem Wandy Kiedrowskiej. Inny przykład: rodzina Meyerów z Koszalina przysłała wypowiedź, która jest „odповідzią zbiorową”, uzgodnioną w obrębie rodziny z Koszalina i Nowej Karczmy.

Trzeba na zakończenie ponownie podkreślić, że redakcja nie otrzymała żadnego listu kwestionującego ideę regionalizacji. Wszystkie były nasycone pozytywnym, otwartym stosunkiem do problemu języka kaszubskiego w szkole i idei regionalizacji nauczania ujmowanej z zasady w kontekście dziejowo-kulturowym.

Wyniki sondażu dotyczącego wprowadzenia języka kaszubskiego do szkoły na Kaszubach upoważniają do następujących stwierdzeń. Zwolennikami wprowadzenia elementów kultury kaszubskiej i języka do szkoły są w pierwszej mierze uczniowie, a następnie ich rodzice oraz ciała samorządowe (patrz: Bobrowski), wyraźnym przeciwnikiem edukacji etnicznej staje się szkoła, nauczyciele, z pochodzenia Kaszubi. To oni najbardziej utożsamili się z dysponentami kultury legalnej. Nie chcą utracić tej pozycji, dlatego nie dostrzegają oczywistych racji przemawiających za regionalnym nauczaniem. Można sądzić,

że zostali najsilniej wyobcowani kulturowo, co stało się powodem głębokiej frustracji, utraty tożsamości nauczycielskiej i etnicznej. Każda zmiana odczuwana jest przez nich jako zagrożenie ich pozycji społecznej i prestiżu.

Sojuszników zaś trzeba szukać poza szkołą (przynajmniej w tej chwili), dążyć do budowania edukacji niezależnej, opartej na wartościach społeczności lokalnej. Tworzenie i rozwiązywanie wspólnych problemów edukacyjnych w grupach lokalnych pomoże w odtworzeniu sfery publicznej, czyli zbiorowej myśli, której jądrem jest dialog wokół wartości. Tego muszą uczyć się rodzice, nauczyciele i władze samorządowe. Samorząd lokalny stanowić powinien tło organizacyjne autentycznej samorządności, nie może on zastępować decyzji edukacyjnej w żadnym zakresie, bowiem o szkole powinni decydować sami zainteresowani. Twierdę, iż szkoła współczesna gotowa jest na przyjęcie nowych dysponentów przemocy, dlatego wymaga ona natychmiastowych i głębokich przekształceń idących w kierunku jej uspołecznienia. Ostrzeżenie to należy traktować bardzo poważnie, zagrażać nam bowiem może nowy fundamentalizm.

Nie można problemu języka kaszubskiego w szkole oddzielać od kontekstu jego powstania, od uwarunkowań i argumentów oraz sporów wokół statusu językowego kaszubszczyzny. Przygotowując ankietę wychodziłem z następujących przesłanek: język kaszubski jest językiem takim samym jak każdy inny język, a spór: czy jest on gwara, czy językiem uważam i uważałem zawsze za bezprzedmiotowy, gdyż ma charakter ideologiczny a nie merytoryczny. Samo zaś pytanie uważam za źle postawione. Nie językoznawcy odpowiadają na to pytanie, a użytkownicy języka. Uzasadnienia tego stanowiska zawierają się bowiem w innej wiedzy, którą jest socjolingwistyka (socjologia języka). Drugą przesłanką była towarzysząca mi konstatacja, że język kaszubski jest tzw. językiem pierwotnym i dlatego nie można go nauczać jak języka obcego (patrz pytanie ostatnie w ankiecie), np. od klasy IV. Dla większości Kaszubów jest to język pierwszy, nawet gdy go zapominają. Jest to więc problem bilingwizmu i dyglosy.

O tych sprawach m.in. mówiono na sesji w dniach 20 i 21 maja 1988 roku w Opaleniu, którą zorganizował Instytut Pedagogiki UG i Zarząd Główny ZK-P pod tytułem „Sytuacja społeczna i edukacyjna dziecka w zbiorowościach regionalnych dawniej i dziś na przykładzie Kaszub”. Teoretycznie stanowisko uzasadnił, po raz pierwszy w historii sporów o status kaszubszczyzny, referat dr. Zdzisława Aleksandra pt.: „Sytuacja językowa na Kaszubach a problem kształcenia dzieci”. Można przyjąć, że grunt teoretyczny dla późniejszych stanowisk i uchwał XI Walnego Zjazdu ZK-P opracowany został właśnie na tej sesji, tam też podjęto ostateczną decyzję o regionalizacji nauczania i nauczaniu języka kaszubskiego w szkole. Cała dyskusja na sesji potwierdzała zmianę perspektywy widzenia sprawy języka i edukacji w regionie, była podstawą działań Komisji Oświaty ZK-P na lata następne. Tylko z powodu opieszałości wydawnictwa ZK-P nie ukazały się jeszcze materiały z tej sesji. (Sygnałowy tom pt. „Dziecko w zbiorowościach regionalnych na przykładzie Kaszub”, Zeszyty Naukowe, Pedagogika, Historia Wychowania, t. 20, Uniwersytet Gdański, Gdańsk, 1990, druk ZK-P, znajduje się w bibliotece UG. Wydawnictwo UG przystąpiło, uznając istotność naukową pracy, do druku własnego tomu, który ukaże się na początku 1992 r.).

Nie więc dziwnego, że Andrzej Porębski w „Problematyce językowej w „Pomeranii” („Pomerania” nr 9, 1991) zauważył tylko artykuł Alfreda Majewicza („Pomerania” nr 1, 1990 r.), gdy w rzeczywistości potwierdził on wyartykułowane w Opaleniu myśli.

Jako autor ankiety i niniejszej interpretacji jej wyników zapraszam do dyskusji.

PROBLEMY KSZTAŁCENIA DZIECI KASZUBSKICH

Podzielał pogląd, że położenie dziecka w zbiorowościach regionalnych, gdzie w kontaktach z otaczającym światem posługuje się ono różnymi językami, należy uznać za korzystne dla jego rozwoju. Zaaprobowanie takiego sposobu myślenia przez rodziców Kaszubów i nauczycieli dzieci kaszubskich może zapobiec obserwowanej „ucieczce” od problemów kultury regionalnej i od kaszubszczyzny, pod pozorem troski o dobro młodego pokolenia.

Proces wychowania dokonuje się w dużej mierze za pośrednictwem języka charakterystycznego dla danego środowiska. Istniejący w otoczeniu dziecka sposób porozumiewania się kształtuje jego umysłowość, postawy społeczne i emocjonalny stosunek do świata, w którym wzrasta. We wczesnej fazie rozwoju ogromny jest wpływ środowiska rodzinnego.

Zastanówmy się na czym polega specyfika położenia dzieci wychowywanych w społecznościach kaszubskich. Bierze się ona stąd, iż nie jest łatwo jednoznacznie rozstrzygnąć czy dziecko na Kaszubach wzrasta w sytuacji dwujęzyczności, czy w sytuacji tzw. dyglosy. Pojawilo się więc tu pytanie o status językowy kaszubszczyzny. Zanim jednak do niego nawiążę, wyjaśnię co rozumiem przez dwujęzyczność. Otóż mówiąc o dwujęzyczności mam na myśli takie współistnienie dwóch języków w ramach jednej społeczności, gdzie użycie każdego z nich zależy od sytuacji, w jakiej ludzie porozumiewają się (w rodzinie, sąsiedztwie, szkole, w urzędzie i in.). Współzależność między nimi i ich wykorzystanie w określonych momentach porozumiewania się zależeć będzie od obowiązujących w danej społeczności norm, wartości, a nawet zwyczajów. W takim ujęciu oznacza to, że oba języki tworzą jak gdyby jeden, wzajemnie uzupełniający się system komunikacyjny. Chodzi tu o taki rodzaj dwujęzyczności, gdzie jednostki opanowują oba języki w tzw. warunkach naturalnych (przeciwieństwem tej sytuacji jest opanowywanie jednego z języków w warunkach sztucznych, tj. poza społecznością, która się nim posługuje).

Śpośród istniejących określeń pojęcia „dyglosa” proponuję takie, według którego członkowie jednej zbiorowości regionalnej posługują się dwoma odmianami tego samego języka, tzn. językiem narodowym i dialektem.

Specjaliści stosujący kryteria często językoznawcze najczęściej sugerują, że mamy do czynienia z dialektem i gwarami. Problem przestaje być tak jednoznaczny, gdy przyjmujemy kryteria pozajęzykowe, gdy uwzględnimy społeczne i kulturowe uwarunkowania mowy kaszubskiej. Czyli, jeśli popatrzymy na to zagadnienie z punktu widzenia socjolingwistyki. Dwujęzyczność łączy się tam zawsze z dwukulturowością, natomiast w przypadku dyglosy taka współzależność nie jest obserwowana. Nie ma już dziś wątpliwości, że w przypadku społeczności kaszubskiej można mówić o odrębności kulturowej, której wyróżnikami jest literatura piękna, tłumaczona na język polski, bogata twórczość artystyczna, widoczna odrębność obyczajów, wyraźnie określona świadomość etniczna i in. Jeżeli uwzględnimy znaną tezę, że język jest odzwierciedleniem duchowego życia określonych społeczności i stanowi ich kultury, to będziemy już bardzo blisko przyznania kaszubszczyźnie statusu języka.

Proponuję jednak pozostawić spór o status językowy kaszubszczyzny akademikom: językoznawcom, socjolingwistom, socjologom i in. Jakiegokolwiek rozstrzygnięcia teoretyczne w żaden sposób nie zmieniają sytuacji językowej i edukacyjnej dzieci wychowywanych na Kaszubach.

Dziecko kaszubskie w zależności od swojego położenia społecznego może znaleźć się w trojakiłej sytuacji: 1) najpierw uczy się porozumiewać z otoczeniem za pomocą mowy kaszubskiej i dopiero później opanowuje język narodowy, 2) oba języki (kaszubski i narodowy) opanowuje jednocześnie i 3) najpierw porozumiewa się za pomocą języka narodowego, a następnie (np. w czasie zabaw z rówieśnikami) uczy się posługiwać kaszubszczyzną. Najbardziej korzystna wydaje się sytuacja druga, gdy dziecko opanowuje równolegle oba języki i uczy się rozumieć obie kultury.

Zamierzam jednak bardziej szczegółowo zająć się sytuacją trzecią, gdy dziecko z rodziny kaszubskiej opanowuje tylko język narodowy i jest jak gdyby „chronione” przed językiem własnego środowiska, jako mniej wartościowym, mogącym być źródłem niepowodzeń osobistych, a przede wszystkim zagrażającym jego rozwojowi intelektualnemu. Do skupienia uwagi na tym właśnie zagadnieniu skłoniły mnie niepokojące rezultaty badań B. Synaka („Pomerania” 1990, nr 9), niektóre odpowiedzi na ankietę „Pomeranii” „Czy chcemy uczyć się po kászubsku?”, a także wyniki rozmów, które przeprowadziłem z nauczycielami i studentami.

W światowej literaturze naukowej dość często pojawiają się głosy, że dziecku

wzrastającemu w sytuacji dwujęzyczności czy też dyglosy może grozić m.in. zahamowanie rozwoju, obniżenie poziomu inteligencji, opóźnienie w opanowaniu języków. Twierdzi się nawet, że taka sytuacja może doprowadzić u jednostek słabszych psychicznie do zaburzeń określonych jako „kulturowa schizofrenia”. Powstają one jakoby na skutek przemieszania się różnych kultur, punktów widzenia i norm zachowań.

Z drugiej jednak strony istnieją poglądy zwolenników wychowywania dzieci w warunkach dwujęzyczności (także dyglosy). Dowodzą oni, że w okresie poprzedzającym dojrzewanie dziecko odznacza się dużą plastycznością umysłu, układu nerwowego i potrafi stosunkowo szybko opanować oba języki lub też język i dialekt. Sugeruje się nawet, że większość dzieci, biorąc pod uwagę całą ludzkość świata, wychowuje się posługując w życiu codziennym więcej niż jednym sposobem mówienia. Jeśli nawet przyjąć, że wspomniane niebezpieczeństwa i zaburzenia mogą występować, to po pewnym czasie przestają istnieć, dając w efekcie bardziej rozwiniętą osobowość. Jak to możliwe? Otóż osobiste przeżywanie faktu, że istnieją różne normy zachowania językowego i różne sposoby wyrażania myśli, prowadzi do tolerancyjnego stosunku względem innych narodowości i kultur. Badania amerykańskie potwierdziły spostrzeżenie, że dzieci dwujęzyczne mają bardziej obiektywny stosunek do innych społeczeństw niż dzieci jednojęzyczne. Dziecko jak gdyby traci społeczną „zaściankowość”.

Przedstawiona tu rozbieżność poglądów nie jest łatwa do rozstrzygnięcia, gdyż zwolennicy jednego i drugiego odwołują się do danych naukowych największych autorytetów, potwierdzających ich poglądy. Pewna część badań wykazuje mniejsze lub większe opóźnienia rozwoju u dzieci dwujęzycznych. Inne zaś nie tylko nie wykazują żadnych upośledzeń, ale wręcz sugerują lepszy rozwój dzieci. Przewyższają one inteligencją swoich jednojęzycznych rówieśników. Przypuszcza się, że u dzieci dwujęzycznych kontakt intelektualny z dwoma systemami językowymi wyrabia większą giętkość i plastyczność umysłu, łatwość tworzenia pojęć.

Zdaniem niektórych autorów rozbieżności w wynikach wspomnianych badań mogą być spowodowane odmiennymi warunkami społecznymi, ekonomicznymi i kulturowymi badanych środowisk; dobre efekty badań uzyskiwano zawsze z dziećmi z rodzin i środowisk o wysokim statusie społecznym. Mogą być spowodowane także różną osobowością badanych, zaburzeniami w przyswajaniu języka, poziomem inteligencji i in.

Podzielałam pogląd, że położenie dziecka w zbiorowościach regionalnych, gdzie w kontaktach z otaczającym światem posługuje się ono różnymi językami, należy uznać za korzystne dla jego rozwoju. Zaaprobowanie takiego sposobu myślenia przez rodziców Kaszubów i nauczycieli dzieci kaszubskich może zapobiec obserwowanej „ucieczce” od kaszubszczyzny, często pod pozorem troski o dobro młodego pokolenia.

Skrótowno zajmę się teraz sytuacją, gdy dziecko przed pójściem do szkoły opanowało tylko mowę kaszubską, lub w niedostatecznym stopniu włada językiem narodowym, co w przypadku dzieci kaszubskich może być zjawiskiem spotykanym. Czyli sytuacją, gdy dziecko nie zna w pełni sposobu mówienia narzucanego przez państwową szkołę, a nauczyciele nie są w stanie zaakceptować kultury, którą wnoszą do szkoły uczniowie posługujący się językiem kaszubskim. Deprecjonują więc umiejętności językowe nabyte przez dziecko w wychowaniu domowym, odbierając im miano kulturalnych. A przecież umiejętności te znakomicie wypełniają swoje zadanie, zapewniając możliwość porozumiewania się, wyrażania uczuć i osobistych doświadczeń w obrębie społeczności. Dlatego dla wychowanków wzrastających w zbiorowościach kaszubskich mówienie „szkolne” może być uznawane za mało przydatne i wywoływać poczucie nierealności — szkoła i treści przez nią przekazywane mogą być odbierane jako oderwane od życia, dalekie, niejasne. W takim przypadku doświadczenia szkolne prowadzić będą do przekształcenia nie tylko całej sfery językowej, ale i społecznej. Wraz z językiem zmianie ulega tożsamość społeczna dziecka i zaczyna występować brak ciągłości kulturowej między szkołą a otoczeniem, w którym się wychowuje. Ten rozłam jest oczywiście wynikiem tarcia dwóch różnych systemów porozumiewania się. Wychowanek, który przechodzi od jednego systemu językowego do innego, zostaje „uwikłany” w podstawowe przemiany kulturowe, tzn. przechodzi z jednej kultury do innej. Nie może być więc zaskakującym fakt, że dzieci mówiące po kaszubsku znajdują się w niekorzystnej sytuacji (zarówno psychicznej jak i intelektualnej) w szkole, gdzie faworyzuje się sposób mówienia zgodny z normami języka narodowego. Specjaliści słusznie twierdzą, że mamy w tym przypadku do czynienia z blokowaniem rozwoju przez szkołę. Wychowankowie nie umiejący wypowiadać się w preferowany przez szkołę sposób (tj. w języku narodowym) nie są zdolni do wyrażania osobistych przemyśleń, spostrzeżeń i poglądów, do mówienia własnym głosem i w konsekwencji uczą się milczenia. Język „szkolny” staje się tu poważną barierą w edukacji, narzędziem przymusu, zniewolenia.

Kiedy przewyćziemy wspomnianą blokadę rozwoju? Stanie się to wtedy, gdy zostaną pokonane wymienione wyżej ograniczenia w komunikacji, gdy mowa kaszubska stanie się równoprawną płaszczyzną porozumiewania się pedagogów i wychowanków, zaś edukacja regionalna realnym faktem, a nie tylko pomysłem teoretycznym potwierdzonym zaledwie jednostkowymi przykładami.

Kiedy przewyćziemy wspomnianą blokadę rozwoju? Stanie się to wtedy, gdy zostaną pokonane wymienione wyżej ograniczenia w komunikacji, gdy mowa kaszubska stanie się równoprawną płaszczyzną porozumiewania się pedagogów i wychowanków, zaś edukacja regionalna realnym faktem, a nie tylko pomysłem teoretycznym potwierdzonym zaledwie jednostkowymi przykładami.

Z KASZUB DO WOLNEJ EUROPY

Kaszubą jest jedynie po kądzieli. Matka jego, z domu Hirsch („czytaj to nazwisko Hyrsz” — podpowie), wywodzi się z gospodarstwa Place nie opodal Kielna, w połowie drogi między Kartuzami a Wejherowem — zaznaczy Marcin w rozmowie, gdy po latach, wiedziony znakami wolnej Polski, odwiedził ją bez lęku i obaw. Bo on przecież „człowiek z Wolnej Europy”. Z tej rozgłośni tak bezskutecznie nam obrzydzanej przez tyle dziesiątków lat.

Dziadek Marcina był przed wojną bardzo cenionym działaczem w okolicy Kielna. Nic dziwnego, że jego rodzina była przez Niemców proskrybowana. O paradoksie, proboszcz niemieckiej (tak się wówczas mówiło, tak naprawdę ewangelickiej) parafii przyjechał wówczas z Wejherowa i w porę ich ostrzegł. Kazał natychmiast wyjeżdżać, uciekać.

Uciekał więc dziadek Marcina w kierunku wsi Koponiewo, na południe od Kielna, tam gdzie mieszkała jego siostra. I gdzie były dużo większe lasy. Nie chcąc nikogo narażać pobudował sobie w lesie ziemiankę i w niej zamieszkał na wiele miesięcy...

Dwóch synów miał dziadek Marcina: Albina oraz Hipolita. I aż pięć córek: Salomeę (Salkę), Scholastykę (Scholę), Domicellę (Cylkę), Stanisławę (Stasię) oraz Konstancję (Kostkę). On jest synem Scholi. Hipolit był później znanym na Wybrzeżu adwokatem, Albin — lekarzem w Nowym Sączu. Wszyscy całą siódmką uczęszczali przed wojną do Gimnazjum Macierzy Szkolnej w Gdańsku.

— Mnie do matury, już grubo po wojnie — powie Marcin — szykował ten sam, co ich, sędziwy już wówczas, prof. Michał Urbaniak.

Większość dzieci Hirszów czmychała pojedynczo do Warszawy. Z jednym wyjątkiem — mamy Marcina, która wybrała Poznań. I właśnie tam poznała przysłego swego męża Bogdana Idzińskiego, przedwojennego zarządcę majątków Chłapowskich, rolnika z wykształcenia. Pożar magazynu zbożowego w tym majątku, podpalonego przez komunistów, zapamiętał Marcin na całe życie. Okna ich domostwa wychodziły akurat na ten magazyn.

Po wojnie powrócili Hirszowie całą rodziną — z wyjątkiem Albina — do Gdańska oraz Sopotu, na Wybrzeże i na Kaszuby. Ich gospodarstwo, choć nie przekraczało owych 50 ha objętych rolną reformą, zostało rozparcelowane pomiędzy robotników rolnych (porą wojny rządził na nim niemiecki Treuhänder), nie wypadało przeto nic innego, jak próbować zapuścić korzenie gdzie indziej. Marcina rodzina zatrzymała się w Sopocie. W mieście, o czym Marcin wiedzieć nie musi, do szczytu rozgrabionym, rozszabrowanym przez przybyszów z zewnątrz. Traktujących to wielonarodowe, wielowyznaniowe kurortowe miasto za we wszystkim niemieckie.

Przedziwne było to ich sąsiedztwo w Sopocie! Stuprocentową Niemką była pani... Piotrowska. Z Polakiem ożeniona, który, jako że nie przyjął tzw. grupy, trafił do Stutthofu, syn jej zaś, Alfred, zginął na łodzi podwodnej już w 1940 roku. Marcin do dziś przechowuje we wdzięcznej i wciąż żywej pamięci śpiew starej Piotrowskiej w trakcie mycia okien. „Serdeczna matko, opiekunko ludzi...” Ta stara, rozrośnięta Niemka, uosobienie wszelkiej ludzkiej dobroci, po polsku знаła zaledwie słowa kilku kościelnych pieśni, jako że nabożna była to kobieta. Marcin, aktor z wykształcenia, potrafi naśladować jej ruchy i ów śpiew w pomieszaniu z kadencją niemieckich zdań wypowiedzianych i wyśpiewywanych na zmianę. Na poczekaniu z wielkim talentem, odtwarza owo pograniczne, kulturowe pomieszanie.

— Stary Piotrowski — wspomina Marcin — przeżył wojnę tylko dlatego, że jego syn służył w Kriegsmarine i w bocie poszedł na dno Bałtyku.

Stary Piotrowski, Kociwiak ze Starogardu Gdańskiego, z zawodu ślusarz, gdy powrócił z Stutthofu, był już bardzo chory. Rychło umarł. Stara Piotrowska, bojąc się ludzi, nie znała przecież języka polskiego, z rzadka tylko wychodziła na ulicę. To matka Marcina wyręczała ją wówczas w zakupach. A przecież do 80 roku życia Piotrowska pozostała w Sopocie.

— Pod nami — wspomina dalej Marcin — mieszkała inna Niemka, tak naprawdę Kaszubka, kaszubska Niemka, niemieckojęzyczna Kaszubka — precyzuje Marcin — o nazwisku Gertrude Braun. Też nie chciała z Sopotu wyjechać. Nie dała się, jak wówczas się mówiło, zarejestrować. Krawcowa... Co tam krawcowa. Modystka. Ekskluzywna krawcowa. Krawcowa pracująca po bardzo bogatych domach. I ta Braunka, bo tak o niej mówiliśmy w domu, choć mogła czuć lęk z racji swego nazwiska, nigdy nie dała się zarejestrować jako Niemka. Choć później, już w latach sześćdziesiątych, wszyscy wokół doradzali jej, by przyjęła dowód osobisty. Uparła się przy swoim. Przyjęła go dopiero za Gierka, gdy już była przekonana, że nic złego jej nie zrobią.

Sytuacja tego rodzaju była możliwa jedynie w gronie zaprzysięgłych kaszubskich przyjaciół, pośród których Braunka czuła się swojsko, przeto i na objawy pewnej buty było ją stać — powiada Marcin. — Z tym dowodem osobistym w rękę Braunka mogła udać się do Domu Spokojnej Starości, przy starej pętli w Oliwie. Takie miała plany. Zrealizowała je jednak po swojemu. Kupiła dom przy owej pętli w Oliwie. Wynajęła sobie do pomocy dziewczynę, której przed swą śmiercią zapisała mieszkanie. Nie bez pewnej dumy zakodowanej w niej na stałe, dokończyła żywota.

Kaszuby... Znaczyły dla Marcina niejedno ważne.

Przywołuje więc liczne obrazy, które przechowuje w swojej pamięci. Wspólnie z kaszubskimi knypami wypasanie krów przez okres letnich wakacji, próby ścigania się z nimi, z reguły przezeń przegrane, bo okazywali się być od niego żwawszy. Smak bulew pieczonych na jesiennym ogniu. To wszystko było u wujka Gustawa Kura, męża cioci Stasi, najpierw w Przetoczynie pod Kielnem, później zaś w Gniewinie, skąd rzut kamieniem tylko do wód Jeziora Żarnowieckiego. To wówczas kaszubszczyzna podpływała do Marcina szeroką strugą. Ogarnęła go swym szorstkim pięknem i przetrwała w nim na całe wręcz jego dorosłe życie. Na lata studiów aktorskich, lata pracy w rozmaitych teatrach, w monachijskiej na koniec rozgłośni.

Najpierw jednak było sopockie gimnazjum im. Chrobrego z prof. Katafiaszową, uczącą historii. Była matką znanego później na Wybrzeżu adwokata Marka Katafiasza. Z prof. Kielkowskim, fizykiem, z prof. Mieszczańskim (szczyił się 42 cm obwodem bicepsu), nauczycielem wychowania fizycznego. Z polonistką prof. Rutkowską. No i nade wszystko z prof. Michałem Urbankiem. To właśnie do niego zaszedł ojciec Marcina, gdy przerażony perspektywą studiów aktorskich syna udał się do niego po poradę, co po nadzieję natchnienia profesora podobnym do swego myśleniem w sprawie.

— Jako ojciec wiem, powiedział wówczas prof. Urbanowski — że syn mój jest nie dość dojrzały, ażeby zdawać egzamin dojrzałości...

Przedziwne było to sopockie liceum... Z teatrykiem szkolnym na tyle ambitnym, że jego prace korygował osobiście, akurat grający u Hübnera w Teatrze „Wybrzeże” Zbyszek Cybulski.

— Jeżeli młodzież fascynuje się teatrem, nie wolno jej w tym przeszkadzać — usłyszał wówczas od prof. Urbanka ojciec Marcina.

— Urbanka kochaliśmy wszyscy... — powie Marcin.

Powraca Marcin w rozmowie do osoby swego dziadka, tego uosobienia wszelkiej rodzinnej kaszubskości. Tam, pod Koponiewem, w tej leśnej ziemiance, porą ciężkiej zimy z 40 na 41 dziadek ciężko zachorował i zmarł. Tam, w tej ziemiance, w wielkim osamotnieniu. Odwiedzała go wprawdzie ciotka z Koponiewa, przynosząc jedzenie, ale przecież był sam. Po wojnie wystawiła mu rodzina nagrobek.

Wspomina pewnego kaszubskiego sylwestra. Z Krakowa ze studiów aktorskich przywiózł z sobą dziewczynę. Bawić się mieli w Warzękach, nie opodal Kielna, w pewnym ośrodku kolonijnym. Zasypało na biało. Dziewczyna zaś była w Nowy Rok umówiona z matką na dworcu w Gdyni. I trzeba było ją tam dowieźć. Tylko jakim sposobem? Marcin wszczął poszukiwanie jakichś sań. Trafiły się całe w dzwoneczki.

— Skądka wa jest? — spytał gospodarz.

— Z Cielna — odpowiedział Marcin nieomal zgodnie z prawdą.

— Z Hirsztów jó jem.

— Z Franca?

— Jo, to bół mój stark.

Wkrótce koń został zaprzężony do sań i gospodarz zawiózł ich oboje na przystanek autobusowy. Wcześniej jednak podjechali na grób Marciniowego dziadka. Do tej ziemianki, gdzie ze śniegu wystawał krzyż upamiętniający owo miejsce.

— To był — przyzna Marcin — pierwszy z arcyważnych dla mnie życiowych momentów, gdy uznałem za rzecz istotną kultywowanie w sobie Kaszub i kaszubsz-

czyzny. Gdy postanowiłem do gruntu poznać ten język, literaturę.

Moment był to czy nie ważniejszy od miesięcy spędzonych w kaszubskim Przetoczynie oraz w Gniewinie, do których jeździło się na całe, bywało, wakacje.

Nieproste były drogi, te dorosłe, Marcina. Przez studia aktorskie w Krakowie, przez pracę w wielu prowincjonalnych krajowych teatrach, przez studia reżyserskie, prace inscenizatorskie w wielu teatrach, przez dwa lata stażu aktorskiego u Jerzego Grotowskiego. Przez Teatr „Stu” w Krakowie. Ten jeszcze sprzed „epoki Jasińskiego.” Przez Teatr „Wybrzeże” i próby śpiewacze w Operze Bałtyckiej. Aż po Teatr na Rozdrożu w Warszawie, nadzorowany wówczas przez Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe, w którym upamiętnił się spektaklem piosenek Jacka Kaczmarskiego i Przemysława Gintrowskiego. Był rok 1981...

Niół tę kaszubskość cały czas w sobie, choć nie miała okazji, by znaleźć ujście na zewnątrz. Jeszcze nie wtedy. Dopiero, gdy zdecyduje się na emigrację do RFN, o której mówi jakże niechętnie, bo czas dlań był to niełatwy, wzbija się w nim ona wysoka fala.

Zdecyduje się na ten krok, gdy uzna wspólnie z Mają Wachowiak, dopiero co poślubioną żoną, że w kraju nic już nie da się zrobić.

Droga przez obóz przesiedleńczy. Jako pierwsza wydotanie się zeń Majka, otrzyma bowiem rolę — los wygrany na loterii — w RFN-owskim telewizyjnym serialu. On z poręki Zdzisława Najdera, szefa monachijskiej rozgłośni, który nie bacząc na skrupuły miejscowych władz, wydotanie go stamtąd do siebie do RWE.

Z początku spiker, głos ma Marcin donośny, charakterystyczny, czysty w brzmieniu, nieco później radiowy realizator. Jeszcze później autor licznych audycji — w tym „Fakty, wydarzenia, opinie” — słuchanych w kraju. Wreszcie — autor poetyckich przedświadczeń audycji na tematy kaszubskie. Z poezją kaszubską, z kaszubskimi kolędami, z wyimkami z kaszubskiej literatury, z folklorem na okrasę.

— Spotkałem się wówczas z zarzutami, iż język kaszubski jest tak trudno w Polsce zrozumiany. A przecież czułem w sobie ten obowiązek realizacji wciąż kolejnych audycji. Czytałem teksty kaszubskie do poduszki. Upraszczałem je nieco, tak by były zrozumiałe w centralnej Polsce. Co tu kryć, stylizowałem je trochę. Czytałem je na głos matce. Mówiła mi wówczas: „To nie jest po kaszubsku”: I miała rację. Szukałem bowiem zrozumiałego klucza do tego języka i nie było to wcale takie łatwe. Zmagałem się z jego skomplikowaną fakturą. Wiedziałem o tym, iż góralszczyznę przekazali w polszczyźnie swych wierszy Kujawianie: Tetmajer, Kasprówic oraz Zegadłowicz. Nie chciałem popaść w tego rodzaju ludomanię. I wciąż dźwięczały mi słowa wujka Gustawa, który rzucał w stronę kaszubskich dzieci w mojej obecności słowa: „On nic nie rozumieje, on je z Gduńska”.

Chciał przeto Marcin zrozumieć. Co więcej: zarazić tą kaszubszczyzną innych. Jeśli mu się to nie w pełni udało, boleje nad tym. Będzie jednak nadal próbował.

Ostatnio był w siedzibie Zrzeszenia Kaszubsko — Pomorskiego na Szewskiej w Gdańsku. Brał do ręki kolejne tomiki kaszubskiej poezji, oswajał się z nimi. Zabrał je z sobą do Monachium. I taśmy z nagraniami kaszubskich kolęd. Jeżeli zadzwieczą wkrótce w jednej z audycji Radia Wolna Europa, będzie to nieomylny znak, iż taśmę tę uruchomił Marcin Idziński...

Z Włodzimierzem Szordykowskim, wiceprezesem i dyrektorem Izby Rzemieślniczej w Gdańsku rozmawia Stanisław Janke

MODEL GDAŃSKI

— Jaka jest kondycja rzemiosła na tle innych dziedzin gospodarki naszego kraju?

— Rzemiosło bardzo dobrze funkcjonowało w okresie, gdy rynek był pusty i wszystkie produkty rzemieślnika były sprzedawane. Klient stał przed zakładem i odbierał towar prosto spod maszyny. Tak było w większości branż. Koszty działalności nie były tak wysokie jak dziś, a w ostatnim okresie rządów komunistycznych podatki też były już dosyć znośne. W latach osiemdziesiątych największym problemem było uzyskanie talonów na benzynę (był taki czas!), surowców, materiałów do produkcji, maszyn. To wszystko trzeba było „załatwić”, a nie normalnie kupić. Rzemieślnicy mieli szczególnie utrudniony dostęp do tych „dóbr”. Patrzone więc na nich jak na przestępców, tych co nadużywają zaufania społecznego, kradną, nie płacą podatków, dają łapówki. Rzemieślników nęcano też tak zwanym domiarem podatkowym, a w przypadku złapania na jakimś drobnym przewinieniu, starano się go zniszczyć. Obecnie sytuacja radykalnie się zmieniła. Towarów i usług na rynku w stosunku do popytu jest nadmiar. Nie znaczy to, że towarów jest za dużo. Po prostu popyt maleje, bo ubożeje społeczeństwo. Bolesnie odczuwają to rzemieślnicy. Z jednej strony mamy spadek zamówień na towary i zapotrzebowania na usługi, z drugiej ciągle wzrost kosztów prowadzenia działalności, a jak słyszymy, i niekorzystnych zmian podatkowych. Słowem, rzemieślnicy odczuwają znaczne pogorszenie swojej sytuacji.

— Powtarza się opinia, że kolejne ekipy rządowe nie dostrzegają ważnej roli rzemiosła w procesie gospodarczym, a prowadzona przez nie polityka fiskalna wręcz doprowadziła do głębokiego regresu.

— Dla mnie podatki nie są decydującym elementem w utrzymaniu zakładów. Uważam, że przyczyną obecnych kłopotów są przede wszystkim trudności ze zbytem. Jeśliby rzemieślnik miał wysokie obroty, to miałby i z czego opłacić stosunkowo duże podatki, utrzymywać zakład i pracowników. Teraz często „jedzie na styku” albo nawet poniżej rentowności. Nie likwiduje interesu tylko dlatego, że ma nadzieję, iż później pracować będzie na pełnych obrotach. Poza tym boi się, że jeśli zwolni teraz dobrych fachowców, to później nie uda mu się odtworzyć kadry. Mimo bezrobocia dobrzy pracownicy zawsze są poszukiwani. Element fiskalny jest bardzo ważny w przypadku nowo uruchomionych zakładów, na które rzemieślnicy pobrali kredyty bankowe. Były one częstokroć zaciągane w okresach, gdy obowiązywało oprocentowanie w granicach 35 proc., też już wysokie, które później skoczyło aż do 90 proc. i chociaż później zmalało, bardzo przekroczyło pierwotne założenia. Rze-

mieślnicy popadli więc w kolejne zadłużenia. Utrzymanie obecnego systemu oprocentowania spowoduje, że szereg zakładów, zwłaszcza tych dużych, prawdopodobnie „padnie”. Małe jakoś przetrwają, ale te z kolei są zbyt słabym partnerem dla większych zakładów i też w niedalekiej przyszłości będą miały kłopoty z utrzymaniem się na rynku.

— Mimo wysokiego oprocentowania są jednak trudności z uzyskaniem kredytów. Wręcz mówi się, że są one dla wybranych.

— Tu chodzi przede wszystkim o możliwość dostępu do kredytu dewizowego. Jest on oprocentowany stosunkowo nisko, w granicach 12 — 15 proc., ale też niesie duże ryzyko związane z gwałtownym wzrostem kursu dolara. Nie dotyczy to eksporterów, ale dla zakładów produkujących na rynek krajowy, za złotówki, jest to poważne niebezpieczeństwo. Rzemieślnicy uważają mimo wszystko, że kredyt dewizowy jest pewniejszy. Kredyt złotówkowy jest opłacalny tylko w przypadku handlu, czyli tam, gdzie jest możliwa szybka transakcja. Jest jeszcze jedna ważna sprawa, jeżeli chodzi o kredyty. Otóż teraz zaciąga się głównie kredyty obrotowe, krótkoterminowe. I banki chętnie takie kredyty udzielają. Natomiast nie zaciąga się prawie kredytów inwestycyjnych. Świadczy to o braku zainteresowania rozwojem firmy i budową nowych. Tak zwane czynniki oficjalne mówią nam, że ilość zakładów wzrasta, rzeczywiście w rejestrach, statystyce przybyło kilkaset tysięcy, ale jakie to są firmy. Głównie handlowe, poczynając od stolika „gazeciarzy” do straganu czy tzw. szczęki. W statystyce są to podmioty gospodarcze. Nie jest to jednak zakład z nowymi obiektami i wyposażeniem, produkujący na rynek, powiększający dochód narodowy.

Niedawno jechałem przez Polskę ze Szwajcaram, który zapytał: „Co się u was dzieje? Gdzie się tylko człowiek ruszy, tam jest hurtownia. Przecież one wyprowadzają z waszego kraju dewizy, tak potrzebne wam na rozwój”. I to się zgadza, bo te firmy przywożą towary obce, nakręcają koniunkturę w krajach, w których kupują. Natomiast u nas produkcja jest coraz bardziej tamszona. Firmy państwowe doprowadzane są do upadłości. Totalnie kładzie się nam krawiectwo. Zalew rynku tanimi wyrobami, gorszej jakości oczywiście, ale efektywnie wyglądającymi, w dodatku zagranicznymi, doprowadza do upadku zakłady krawieckie. A jaki jest tego skutek ekonomiczny? Owszem, mamy towar na rynku, ale państwo z tego praktycznie nic nie ma.

Wracając jeszcze do kredytu inwestycyjnego... Wystąpiliśmy, jako Izba, do ministra finansów o ulgi inwestycyjne. W przeszłości ulgi i dogodne kredyty powodowały, że przybywało dużo nowych zakładów i to rzeczywiście

wytwórczych, z określoną bazą. Te inwestycje dawały podatki, zatrudnienie i szereg innych pozytywnych efektów. Otrzymaliśmy odpowiedź, że nie mogą dać ulgi inwestycyjnych, ale w zamian za to będą rekompensować rzemieślnikom tzw. przyspieszoną amortyzację majątku trwałego. Krótko mówiąc, ten kto dostał wcześniej ulgi inwestycyjne, nisko oprocentowany kredyt, który spłacał na skutek inflacji groszami, teraz jeszcze raz zarabia na tej przyspieszonej amortyzacji. Państwo na tym oczywiście traci. Nie rozumiem tego mechanizmu.

— *Jeszcze niedawno głośna była sprawa lokali dla rzemieślników, wysokich czynszów, rugowania zakładów z dotychczasowych siedzib. Jak jest teraz?*

— Wygląda różnie w różnych miejscowościach. Były okresy, gdy próbowano na tzw. głównych ciągach miejskich wyrzucać rzemiosło, na zasadzie, kto da więcej, ten dostaje lokal. Nasza organizacja protestowała i sytuacja, można powiedzieć, unormowała się. Teraz raczej rzemieślnicy nie skarżą się na wysokość czynszów. Są kłopoty z tymi właścicielami, którym państwo zwróciło lokal. Oni przez wiele lat tracili i teraz chcą rekompensować sobie te straty, przynajmniej zarobić na remonty budynków, żeby im się całkowicie nie rozsypały. Przede wszystkim jednak wysokości czynszu uchwalają rady miast i gmin. W Gdańsku jest on dla rzemieślników dosyć korzystny. Władze samorządowe konsultowały z nami wysokość czynszów, i mam nadzieję, że kolejną, zapowiadaną podwyżkę również wynegocjujemy z pożytkiem dla rzemieślników. Natomiast są miasta i gminy, gdzie opłaty są bardzo wysokie. Niekiedy znacznie większe niż w Gdańsku, mimo że Gdańsk jest przecież centrum handlowym i tutaj łatwiej funkcjonować. Myślę, że jest to często skutek braku ekonomicznego przygotowania radnych. Jak jest dziura w budżecie, to najłatwiej zapłacić ją większymi czynszami i podatkami. Nie patrzy się jednak na skutki. A efekt będzie taki, że firmy zaczną pakować opłaty w koszty, nie będą wykazywały zysków. Czy nie lepiej brać 30 proc. od 100, niż 100 proc. od 40?

— *Wspomniał pan, że zagrożone jest krawiectwo. A jak jest z budownictwem, o którym mówi się, że jest siłą napędową gospodarki.*

— Nasze zakłady budowlane jeszcze jakoś funkcjonują, chociaż mają spore trudności z uzyskaniem zleceń od firm państwowych, które same mają kłopoty finansowe. Obecnie budownictwo głównie opiera się na gospodarce prywatnej. Prywatni właściciele obiektów zapożyczają się, by wyremontować zdekapitalizowane budynki, które później wynajmują i mają niezłe dochody. Szczególnie w miastach widać coraz więcej ładnych i uporządkowanych, odmalowanych i czystych obiektów. To nie jest tylko sprawa jakiegoś snobizmu. Dobry przedsiębiorca po prostu musi dbać o efekt wizualny, bo to jest element reklamy. Innym pozytywnym zjawiskiem w tej branży jest szacunek dla inwestora, poprawa jakości pracy. Sam wprawdzie zamieniłem trzech wykonawców, dokonujących remontu naszej siedziby, ale malarza, który wymalował nasze pomieszczenie z pewnością poprosimy także następnym razem, bo jest solidny i nie drogi, a taki fachowiec liczy się na rynku.

Najpewniejsza jest branża spożywcza. Kryzys przeżywa cukiernictwo i nieco piekarnictwo. Ludzie zakupują o czterdzieści procent chleba mniej niż kiedyś. Prawdopodobnie nie przeznaczają się go już na pasze i bardziej szanuje. Po chleb tańszy nawet o 200 zł ustawiają się tasiemcowe kolejki.

— *Co jakiś czas pojawia się kwestia tzw. drugiej gospodarki. Czy mają w niej udział także dotychczasowi rzemieślnicy, którzy z powodu obciążeń podatkowych i opłat za lokal przeszli do tzw. podziemia gospodarczego?*

— Nie. Na ogół ten, kto ma zakład, jakieś wyposażenie, do podziemia nie ucieknie, bo tego nie schowa. Zwłaszcza, że widnieje w ewidencji urzędu skarbowego i administracji państwowej. Trudno mu się ukryć. Natomiast powstają zakłady, które nie rejestrują się, między innymi z powodów, które pan wymienił. Często powstają w garażach, budynkach gospodarczych. Głównie chodzi tu o warsztaty samochodowe. Każdy z właścicieli takiego zakładu, jak go się zapytać, robi dla kolegi, krewnego, sąsiada, po znajomości i za darmo. Państwo szukając dochodów gnębi tych, których ma w garści. Z nich wyciska soki. Ci, którzy się nie zarejestrowali robią lewe interesy, oszukują skarb państwa i wydają się być bezkarni.

— *Kiedyś niemalże świętością była książka skarg i zażaleń. Można też było rzemieślnika czy wytwórcę zmusić do poprawienia wyrobu, zwrotu kosztów za niesolidnie wykonany towar. Dzisiaj jakoś mniej się o tym mówi.*

— Kiedyś komisjom skargowym w cechach, przy Izbie, podlegali wszyscy rzemieślnicy. Ludzie mogli przyjść się poskarżyć. I nawet jeśli rację miał rzemieślnik, to mu się mówiło: Słuchaj, to nie jest twoja wina, ale załatw to dla świętego spokoju. Ludzie często nadużywali tej instytucji skarg. Klient kupował towar, wykorzystywał miesiąc, dwa i zwracał mówiąc, że to bubeł. Nie chciał innego towaru tylko pieniądze. Zdarzali się klienci powtarzający wielokrotnie ten proceder. Teraz nie ma obowiązku zrzeszania się w organizacjach rzemieślniczych i w zasadzie klientowi pozostaje jedynie droga sądowa. Zrzeszonych rzemieślników nadal obowiązują komisje skargowe. Ale bardzo często musimy oświadczać klientowi, że wyrób nie został wykonany przez człowieka naszego zrzeszenia.

— *Z tego wynika, że nie jesteście już monopolistyczną organizacją ludzi rzemiosła.*

— Zgodnie z ustawą rzemieślnikiem jest tylko członek organizacji rzemieślniczej. Inni są traktowani jako tzw. podmiot gospodarczy. Opierając się na stanie sprzed dwóch lat można powiedzieć, że u nas jest ok. 60 proc. ogółu rzemieślników. Obecna sytuacja wynika głównie z niechęci do płacenia składek członkowskich, bo to jest rocznie kilkaset tysięcy złotych. Jest też szereg innych organizacji — izby gospodarcze, przemysłowo-handlowe, Klub Prywatnego Przedsiębiorcy — które skupiają ludzi zajmujących się wytwórstwem. Te organizacje traktują nas jako konkurencję. Uważam, że dla rzemieślników mających już tyle różnego rodzaju doświadczeń nie jest ważne, czy należą do organizacji nowej czy starej, ale ważne czy dobrej. Są tacy, którzy wracają do nas mówiąc, że tam, gdzie byli nie mieli wspólnych tematów, języka. Izba Rzemieślnicza przeprowadza egzaminy mistrzowskie, a inne stowarzyszenia nie. Łącznie przeprowadzamy 2 tys. egzaminów rocznie, na stopień mistrzowski i czeladniczy. Szkolimy też 7 tys. uczniów w 2 400 zakładach.

— *Skoro mówimy o szkoleniu uczniów, to proszę powiedzieć, jak dziś przedstawia się sprawa oświaty rzemieślniczej, doskonalenia kadr.*

— Coraz więcej mamy uczniów pełnoletnich, którzy już nie muszą chodzić do szkoły. Zawodu uczą się w warsztacie dwa, trzy lata. U nas zdają egzamin czeladniczy. Po sześciu latach praktyki w zawodzie czeladnik może przystąpić do egzaminu mistrzowskiego. Nieletni uczniowie, objęci obowiązkiem szkolnym, przebywają w warsztacie zaledwie 3 dni w tygodniu. I rzemieślnicy narzekają, że nie można ich dobrze nauczyć zawodu. Poza tym różne wycieczki, przerwy świąteczne odbywają się kosztem praktycznej nauki zawodu. Uczniowie państwowych szkół zawodowych świadectwo ukończenia szkoły otrzymują dopiero po zdaniu u nas egzaminu czeladniczego.

— *Powiedział pan, że 40 proc. wytwórców jest poza Izłą Rzemieślniczą. Czy ten stan pozwala na prowadzenie normalnej, statutowej działalności Izby?*

— Muszę powiedzieć, że mieliśmy pewien kryzys. Wszystko co nowe stwarza pewne problemy. Izba Rzemieślnicza w Gdańsku już wcześniej przygotowała się do tych zmian. Ograniczyliśmy zatrudnienie, zredukowaliśmy koszty, a środki, które nam pozostały zainwestowaliśmy w działalność gospodarczą. Nadal obniżamy składki na rzecz Izby i są one teraz symboliczne, świadczące o więzi organizacyjnej. Na 8 mld obrotów Izby w roku ubiegłym, składki od cechów i spółdzielni wynoszą zaledwie ułamek procenta — niecałe 50 mln złotych. Działalność gospodarcza pozwala na finansowanie organizacji i wykonywanie zadań statutowych, między innymi dofinansowujemy warsztaty szkoleniowe, organizowane wspólnie ze Szwajcarami. Bo trzeba rzemieślnika przygotować do nowych warunków. Większość z nich nie szuka nowych rozwiązań, wyczekuje: przeczekam kryzys, kłopoty, może mi się uda. W czasie owych zajęć warsztatowych uczymy marketingu, zarządzania firmą, prowadzenia analiz finansowych, negocjacji z partnerem zagranicznym. Jak się staje w pozycji obronnej, wyczekującej, to jest się skazanym na przegranie. Musisz się rozwijać, atakować, by wygrać. Stworzyliśmy możliwość wyjazdu studyjnego do Szwajcarii. Rzemieślnik może zobaczyć, jak funkcjonują tam konkretne zakłady. Jest też możliwość wyjazdu na praktykę, od 6 tygodni do 6 miesięcy, przejścia wszystkich szczebli zarządzania produkcją. Z tym łączy się znajomość języka. Organizujemy kursy języków obcych wspólnie ze Stowarzyszeniem Wolnych Przedsiębiorców. Realizujemy program „Pomoc Polsce”, finansowany przez rząd szwajcarski. Współpracujemy także z fundacją „Nowe nauczanie” z Liechtensteinu, która prowadzi kursy języków obcych nowymi metodami. Mieliśmy już kurs angielskiego, niemieckiego i ponownie zaczynamy niemiecki. Sto godzin w ciągu dwóch tygodni. Szwajcarzy twierdzą, że trzy takie kursy dają możliwość swobodnego porozumiewania się, z tym że jeszcze między kursami powinien być kontakt z danym językiem.

— *Słyszałem o programie zwanym „Blokem rozwoju”.*

— Warsztaty, wyjazdy studyjne i praktyki, to jest właśnie pierwszy etap tego programu. Drugi to języki obce. A już jesteśmy w trakcie realizacji trzeciej części programu — nawiązywania bezpośrednich kontaktów z partnerami zagranicznymi. Tym, którzy chcą rozwijać swoją firmę, już zrobili rozeznanie rynku, zamierzamy stworzyć możliwość zaciągnięcia korzystnych kredytów inwestycyjnych. Rozmawialiśmy już z przedstawicielami Banku Śląskiego i oni są gotowi na współpracę. Będziemy też rozmawiać z Bankiem Gdańskim. Poza tym chcemy

w naszej Izbie uruchomić pełne poradnictwo dla wszystkich osób, pomagać w rozwiązywaniu nawet bardzo specyficznych problemów rzemieślniczych i gospodarczych. Podobną współpracę jak ze Szwajcarami planujemy z Niemcami. Z izbą rzemieślniczą we Frankfurcie nad Menem współpracujemy już ósmy rok. Myślimy m.in. o laboratorium komputerowym. Będziemy uczyć obsługi i wykorzystania komputera do spraw podatkowych, zarządzania itd. Poza tym praktycznego rzemiosła i doskonalenia produkcji. W związku z tym planujemy stworzenie centrum szkolenia. Zakupione na Zachodzie maszyny wstawimy do zakładów rzemieślniczych. Do południa będą na nich pracować dla siebie rzemieślnicy w zamian za poniesione koszty, a po południu wykorzystają je do szkolenia nasi fachowcy. Maszyny te będą własnością Izby Rzemieślniczej.

— *Czytałem w waszej prasie branżowej, że Izba Rzemieślnicza w Gdańsku oraz na Śląsku należą do najaktywniejszych w Polsce.*

— Między izbami nie ma rywalizacji, jest natomiast zrozumienie i koleżeńska pomoc. Bardzo chętnie dzielimy się z innymi tym, co mamy. Model gdański nie musi być wiernie odtwarzany w innych izbach. Mogą natomiast skorzystać z wzorów, które nam się sprawdziły. Doszliśmy do wniosku ze Szwajcarami, że uzasadnione byłoby stworzenie trzech wielkich ośrodków rzemieślniczych: na północy w Gdańsku, w centrum w Poznaniu i na południu w Katowicach. To byłyby trzy regiony naszego największego oddziaływania.

— *Dziękuję za rozmowę.*

Prenumerata w redakcji

Prenumerata w kraju na II kwartał 1992 roku wynosi 27 000 zł (21 000 zł prenumerata + 6 000 zł wysyłka). Za granicę 60 000 zł (21 000 zł + 39 000 zł wysyłka).

Prenumerata poprzez „Ruch”

Wpłaty na prenumeratę w kraju przyjmują: jednostki kolportażowe „Ruch” i urzędy pocztowe właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora; za granicę — Zakład Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, konto PBK XIII Oddział W-wa 370044-1195-139-11.

Dostawa zamówionej prasy następuje: przez jednostki kolportażowe „Ruch” — w sposób uzgodniony z zamawiającym; przez urzędy pocztowe — pocztą zwykłą pod wskazany adres, w ramach opłaconej prenumeraty, z wyjątkiem zlecenia dostawy za granicę pocztą lotniczą, której koszt w pełni pokrywa prenumerata.

Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: na III kwartał do 20 maja, na IV do 20 lipca.

Prenumerata w kraju na II kwartał wynosi 21 000 zł. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa od krajowej.

SPOŁECZNOŚĆ POMORZA

Antynomie autochtonizmu i migracyjności

Socjologiczna analiza kształtowania się zbiorowości społecznej Pomorza po 1945 roku i jej struktury kulturowo-etnicznej jest nader ważnym, ale wciąż jeszcze wzbudzającym zbyt małe zainteresowanie, problemem badawczym o dużym znaczeniu praktycznym. Impulsem do dalszych badań może stać się przegląd dotychczasowych prac oraz związana z tym refleksja teoretyczna i metodologiczna.

Wydaje się, że istotne elementy do kolejnych analiz i interpretacji może wnieść spojrzenie na tę problematykę przez pryzmat antynomii dwóch predyspozycji ludzi i grup społecznych, jakimi są autochtoniczność (autochtonizm) i migracyjność (migracjonizm?). Chodzi więc o rozpatrzenie sprzecznych ze sobą, wzajemnie wykluczających się potrzeb i dążeń życiowych ludzi, które jednak wydają się równie prawdziwe i równie dobrze uzasadnione.

W KRĘGU HISTORIOZOFII

Jest to problem niezwykle złożony, mający bardzo odległą retrospekcję i historiozoficzną głębię oraz wymiar etycznego dylematu wyboru wartości i stylu życia.

Historyczną retrospekcję zahacza o uwarunkowania koczowniczego i osiadłego trybu życia oraz związane z tym różnice kulturowe ludów pierwotnych, o dzieje wielkich i mniejszych wędrówek ludów poprzedzających naszą erę i zaistniałych już w obydwu jej tysiącleciach, o przebieg imperialnych podbojów i rozpad wielkich imperiów, o ruchy migracyjne wywołane europejskimi odkryciami geograficznymi i rewolucjami przemysłowymi czy komunikacyjnymi, o powstawanie i rozpad systemów kolonialnych i totalitarnych oraz o związane z tym przesunięcia ludności, o współczesny transfer ludności ze stref niedorozwoju ekonomicznego — cywilizacyjnego do stref najbogatszych i najbardziej rozwiniętych społeczeństw, a wreszcie o narodziny otwartości kulturowej i wielkiej turystyki.

Natomiast refleksja filozoficzna — etyczna dotyka instynktu zakorzenienia oraz potrzeby otoczenia naturalnego i społecznego, wahań w określaniu stosunku do „swoich” i „obcych”, tolerancji dla inności i ksenofobii, dylematu poczucia więzi etnicznej — kulturowej i swobody migracji, rozterek wobec kultu tradycji i utraty tożsamości, dramatu wierności wartościom i przeniewierstwa, konfliktu etnicznego czy nacjonalizmu i kosmopolityzmu.

Autochtoniczność i migracyjność na ogół nie mają konotacji jednoznacznie pozytywnej czy negatywnej.

Raczej są traktowane dwuwartościowo. Autochtoniczność występuje raz jako warunek powstania i trwałości kultury, raz jako bariera jej rozwoju i przyczyna stagnacji. Podobnie migracyjność. Źródła migracyjności są uznawane za przejaw dezintegracji zbiorowości macierzystej lub wręcz jej patologii, ale i odwrotnie — za wyraz prężności i ekspansji. W zbiorowościach przyjmujących migrantów przypisuje się im zarówno rolę rozsądnika, jak i czynnika twórczego.

W tym kontekście staje się zrozumiałe, że podstawowe kwestie dla interesującego nas przedmiotu rozważań to geneza i charakter grup ludności rodzimej i napływowej, wzajemne relacje między nimi oraz przeobrażenia, jakich doznają przy zetknięciu się ze sobą. Każdy z tych problemów wymaga odrębnej analizy.

TERYTORIUM JAKO WARTOŚĆ ZBIOROWA

Autochtoniczność i migracyjność zasadza się na pewnej odmienności stosunku grupy społecznej do terytorium swego życia. Uniwersalną i istotną treść tego stosunku najtrafniej zdefiniował — jak się wydaje — Florian Znaniecki w „Socjologii walki o Pomorze”, pisząc, że „socjologicznie rozpatrywane każde terytorium odgrywa rolę elementu grupowego, wartości zbiorowej, którą taka lub inna grupa społeczna posługuje się jako narzędziem w swym wspólnym życiu kulturalnym”. Formułując to twierdzenie Znaniecki nie rozróżniał pojęć ludności rodzimej i napływowej, a grupa społeczna w jego rozważaniach oznaczała zarówno grupę ludową i narodową, jak i państwową. Instrumentalną funkcję terytorium wobec grupy społecznej Znaniecki precyzował w kontekście socjologicznej analizy problemu rywalizacji o Pomorze. Mając to na względzie pisał: „Ludność Pomorza niekiedy tworzy w dziejach oddzielną grupę żyjącą własnym życiem, choć związaną z innymi grupami; częściej jednak jest ona materialem społecznym i współuczestnikiem innych, obszerniejszych grup. W walce o Pomorze chodzi więc jednocześnie o to, czyją wartością grupową ma być terytorium pomorskie oraz w skład jej grupy wejdzie ludność Pomorza, czy jako oddzielna całość, czy jako jedna z części integralnych”.

Pojęcie ludności rodzimej, rdzennej, autochtonicznej, pierwotnej w tradycyjnym rozumieniu zakłada jej jednorodność jako grupy społecznej oraz szczególne powiązanie tej grupy z terytorium egzystencji, dające jej uprawnienie do traktowania go jako wartości zbiorowej na zasadzie wyłączności z tytułu pierwszeństwa objęcia jako środowiska dla własnego życia. Natomiast ludność napływowa występuje w roli pretendenta do korzystania z użytkowanego już terytorium przez grupę autochtoniczną za jej zgodą lub bez jej przyzwolenia.

Jak wiadomo, zasada pierwotności czy pierwszeństwa, choć niekiedy trudna do źródłowego udokumentowania, bywa często przywoływana w sporach o prawo grupy społecznej do konkretnego terytorium, podobnie jak zasada zasiedzenia od wielu pokoleń. W odniesieniu do Pomorza obydwie wątki mają bogatą egemplifikację w historiografii polskiej i niemieckiej.

Dochodzimy tu do kwestii terytorium narodowego i państwowego oraz jego relacji do pojęć ludności rodzimej i napływowej. Terytorium narodowe na ogół nie pokrywa się z terytorium państwowym, co wytwarza strefy pograniczne. Pretenduje do nich niekiedy nawet kilka społeczności narodowych, które wspierają swoje grupy mniejszościowe lub tylko podtrzymują pozostawione dziedzictwo kulturowe. Natomiast rzadkie są przypadki państw jedn narodowych, które obejmują całość terytorium danego narodu. Wówczas społeczność narodowa w całości stanowi zarazem ludność rodzimą, i z zastrzeżeniem istnienia tylko przemieszczeń ludności między regionami wewnątrz terytorium narodowe — państwowego.

Współcześnie terytorium narodowe w znacznej mierze utraciło już charakter, jaki nadały mu definicje historyków i socjologów, zabarwione niekiedy wręcz determinizmem geograficznym — ekologicznym bądź czystością homogeniczną zbiorowości. Jedną z tego rodzaju definicji stwierdza, że „terytorium narodowe to terytorium, które od dawna w sposób istotny współkształtowało kulturę danego narodu tak, że znalazło to wyraz w świadomości narodowej, umocnionej historycznym stwierdzeniem priorytetu tych związków” (Krzysztof Kwaśniewski, „Autochtonizm i autochtonizacja” w: „Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny”. Rok XLIX z 1). Autor zaznacza przy tym, że ojczyzna ideologiczna obejmuje w tym wypadku związki także z nieznanym osobiście terytorium w przeszłości i teraźniejszości, ale nie te, które nie są potwierdzone kulturowo i historycznie, a wynikają z subiektywnych, często nacjonalistycznych, indywidualnych i zbiorowych przekonań.

Wstęp do większości najbardziej rozwiniętych ekonomicznie, cywilizacyjnie i kulturowo państw Europy i Ameryki Północnej regulują już od dawna dość precyzyjnie przepisy migracyjne, określające warunki czasowego i stałego pobytu oraz reglamentujące prawa obywatelstwa. Nie są one jednak szczególnym gósetem terytorium narodowe — państwowego, lecz raczej mechanizmem regulacyjnym, który ma nie dopuścić do zakłóceń życia zbiorowości wysoko zorganizowanej i strzec przed tym, co w socjologii mobilności i migracji nazywa się efektem inwazji i sukcesji. W pierwszym wypadku jest to masowe i niekontrolowane przenikanie ludności z jednego obszaru do drugiego, a w drugim wypadku to sytuacja, w której

proces ten doprowadza do całkowitego wyparcia ludności pierwotnej i zajęcia obszaru przez ludność napływową.

Współczesnych ograniczeń migracyjnych i koncepcji regulowanej migracji nie sposób sprowadzać do ksenofobii czy też intencji odrodzenia homogenicznych społeczności narodowych, chociaż pojawiają się czasem i takie idee. Wyraźnie regulacyjny charakter ma również kontrola migracji wewnątrzpaństwowej. Zachodnioeuropejskie gminy i regiony samorządowe lub autonomiczne stopniują nabywanie uprawnień przysługujących członkom wspólnoty terytorialnej zależnie od długości czasu zamieszkania.

WARIANTY AUTOCHTONIZACJI

Na gruncie dorobku socjologii polskiej próbę teoretycznego przewyciężenia antynomii autochtonizmu i migracyjności oraz wysunięcia także wniosków praktycznych dla polityki społecznej podjął Krzysztof Kwaśniewski w cytowanym już szkicu opublikowanym w 1987 r., którego treść jest przydatna do analiz sytuacji na Pomorzu.

„Współczesna cywilizacja — stwierdza K. Kwaśniewski — zaczyna niepostrzeżenie, ale coraz bardziej zaostrzać dylemat wyboru między dwiema odmiennymi potrzebami ludzkimi, które nie mogą być zaspokojone równocześnie. Pierwszą z nich jest swoboda migracji, drugą zaś — potrzeba „bycia skądś”, posiadania konkretnej ojczyzny — by użyć klasycznego rozróżnienia St. Ossowskiego — zarówno prywatnej, jak i ideologicznej. Kompromisem w zaspokojeniu tych dwóch potrzeb, może być — konkluduje autor — mniej lub bardziej świadome utrzymanie związku z terytorium, które jest już czyjąś ojczyzną (autochtonizm), bądź znalezienie ojczyzny w miejscu nowego zamieszkania (autochtonizacja)”.

Precyzując pojęcie autochtonizmu K. Kwaśniewski sugeruje, że termin może być rozumiany w trojako znaczeniach:

1. jako ogólne określenie cech rdzennego związku jakiejś społeczności etnograficznej lub etnicznej z jakimś terytorium regionalnym lub narodowym i nawiązującą do tego związku i współtworzącą go tożsamością kulturową;

2. jako cecha ludności utrzymującej taki związek (autochtoniczność);

3. jako ideologia, głosząca szczególną, albo przynajmniej niezastąpioną wartość takiego związku.

Według K. Kwaśniewskiego przeciwstawem autochtonizmu jest allochtonizm, termin oznaczający brak cech takiego związku, jego brak u konkretnych grup ludności (allochtoniczność), względnie pogląd o małej wartości społecznej i kulturowej takiego związku. Natomiast nabywanie lub celowe dążenie do nabycia tego związku z ojczyzną autor określa jako autochtonizację, która może być własnym, mniej lub bardziej świadomym dążeniem danej społeczności, albo dostarczeniem jej w tym celu pomocy z zewnątrz. Kwaśniewski wyróżnia trzy rodzaje związku ludzi z terytorium, które może być: 1. ich ojczyzną prywatną i ideologiczną zarazem, 2. ich ojczyzną prywatną, ale nie ideologiczną, 3. ich ojczyzną ideologiczną, ale nie prywatną. Zwraca też uwagę, że sposobem na zmianę stosunku ludzi do terytorium są właśnie mniej lub bardziej dobrowolne migracje.

Autor prezentowanych poglądów silnie akcentuje rolę terytorium jako czynnika w istotny sposób współ-

kształtującego kulturę narodu i grupy etniczno-regionalnej. Dlatego, jego zdaniem, ze zjawiskiem pełnego autochtonizmu ludności mamy do czynienia wówczas, gdy dana społeczność nie tylko jest związana z danym terytorium i prywatnie, i ideologicznie, lecz także legitymuje się priorytetem związków historycznych i kulturowych z tym terytorium w stosunku do każdej innej, współczesnej jej społeczności.

K. Kwaśniewski konstatuje, że sytuacja ludności osiedlającej się na ziemiach odzyskanych po 1945 roku stanowi punkt wyjścia do najbardziej typowego procesu autochtonizacji. Nawiązując do badań i koncepcji Zygmunta Dulczewskiego, K. Kwaśniewski konstruuje trzy warianty pozytywnej, harmonijnej jego zdaniem, autochtonizacji ludności napływowej:

1. na terenach i wśród ludności dysponującej polskim dziedzictwem regionalnej tożsamości kulturowej autochtonizacja ludności napływowej powinna wiązać się ze wspomaganiem tego dziedzictwa z uwzględnieniem niezbędnych wpływów zewnętrznych, ale bez zagrożeń niwelujących;

2. na obszarach silnego przemieszania dziedzictwa kulturowego ludności rodzimej i napływowej — świadoma i akceptowana autochtonizacja ludności napływowej, zwłaszcza w następnych pokoleniach;

3. na obszarach zasiedlonych wyłącznie przez ludność napływową — autochtonizacja w wymiarze ideologii świadomego współtworzenia nowej, wspólnej tożsamości kulturowej regionu.

K. Kwaśniewski opowiada się za autochtonizmem utrzymanym w rozsądnych granicach. Dzieje się tak wtedy, gdy nie odrzuca się możliwości wszelkich zapożyczeń i nieuniknionych zmian kulturowych, ale gdy równocześnie zachowuje się dbałość o regionalną tożsamość i dotychczasowe dziedzictwo kulturowe, chroniąc je przed zmagoryzowaniem i niwelacją. Przestrzega też przed autochtonizmem prowadzącym do izolacjonizmu oraz przed programowym allochtonizmem.

Rozważania i projekcje K. Kwaśniewskiego nie wyczerpują bogactwa i złożoności sytuacji społeczno-kulturowej ziem odzyskanych, zwłaszcza Pomorza. Są bardziej adekwatne do sfery kultury ludowej i regionalnej. Natomiast zupełnie nie przystają do ośrodków wielkomiejskich. Pomijają też aspekt wielokulturowości dziedzictwa i jego aktualnych bodźców, które są charakterystyczne dla historycznego podłoża wielokulturowości Pomorza.

Z dzisiejszej perspektywy, chociaż na podstawie ciągle jeszcze dość fragmentarycznych badań, wyraźnie widać, że na większej części obszaru Pomorza odzyskanego przez Polskę po 1945 roku mamy do czynienia z postmigracyjnym efektem sukcesji. Dotyczy to głównie Pomorza Zachodniego, a w obrębie Pomorza Wschodniego terytorium byłego Wolnego Miasta Gdańska oraz Żuław i Powiśla. Sukcesorem stała się ludność polska, która napłynęła z sąsiednich regionów Wielkopolski, Kujaw i Mazowsza, ale także aż z Małopolski, Galicji i Wileńszczyzny. Silnie zaznaczone na tym obszarze niemieckie dziedzictwo kulturowe zostało zrównoważone przez żywych nosicieli tradycji polskiej kultury narodowej z regionalnymi zabarwieniami, w znacznej części świadomych obecności polskiego dziedzictwa kulturowego na tej części ziemi pomorskich lub doszukujących się go nawet z pewną przesadą.

Duże znaczenie miał fakt, że w zbiorowości migran-

tów dość licznie były reprezentowane kręgi inteligencji twórczej, które dawały początek często od razu dość prężnym środowiskom naukowym, artystycznym i kulturalnym. Dotyczy to głównie ośrodków wielkomiejskich, jak Gdańsk i Szczecin, ale po części także Koszalin, Słupska i Elbląga. Proweniencja kreatorów gdańskiego środowiska naukowego, podobnie zresztą jak szczecińskiego, ma niemal zasięg ogólnokrajowy. Wprawdzie ciągłość rodowodu pomorskiej grupy tych środowisk zostaje utrzymana, ale tylko na Pomorzu Wschodnim, w Gdańsku, gdzie jednak uległa wzmocnieniu dopiero w drugim rzucie przez adeptów miejscowego pochodzenia.

Środowiska uczestniczące w efekcie polskiej sukcesji społeczno-kulturowej na odzyskanej części Pomorza postrzegają swój związek z regionem przez pryzmat organicznej więzi Pomorza z krajem, a nie przez regionalną tożsamość. Dla tych środowisk autochtonizacja w znaczeniu nadanym mu przez K. Kwaśniewskiego ma charakter drugoplanowy. Dla części z nich pobyt na Pomorzu jest tylko odfekoczną we współuczestnictwie w tworzeniu kultury narodowej w innym ośrodku, a nawet za granicą.

Na poziomie kultury masowej dotyczy to również innych środowisk i warstw społecznych. W dużych i średnich miastach, objętych procesami industrializacji, migracja jest zresztą kontynuowana niemal nieprzerwanie w latach 1950-1980, co komplikuje i przedłuża procesy autochtonizacji. Nową fazą migracji są wyjazdy za granicę w latach 80, głównie ze względów ekonomicznych.

Polska sukcesja społeczno-kulturowa na odzyskanej części Pomorza wzmocniła środowiska rodzimej ludności polskiej i kaszubskiej oraz jej resentymenty do własnego dziedzictwa także na obszarze Pomorza przywróconym Polsce odrodzonej już po pierwszej wojnie światowej, aczkolwiek towarzyszy temu często duży krytycyzm wynikający z możliwości cywilizacyjno-kulturowych porównań. Tendencje niwelacyjne w polityce kulturalnej PRL wprawdzie znacznie ograniczyły możliwości ekspresji kulturowo — etnicznej takich grup ludności rodzimej, jak Kaszubi czy Kociewiaczy, ale równocześnie zaistniały warunki sprzyjające obserwowanemu w ostatnich latach odrodzeniu tych społeczności. Jednym z czynników pobudzających ten proces było wytworzenie przez te społeczności własnej inteligencji humanistycznej, wykształconej w uniwersytetach na Pomorzu, w Toruniu, Gdańsku i Szczecinie.

Społeczność kaszubska dość szybko przełamała bariery ograniczające jej rozwój i z powodzeniem wyrównuje pewne opóźnienia. Pojawiły się nawet ambicje do wychodzenia poza własny obszar kulturowo — etniczny, co w dyskusjach nad przyszłością Kaszubów spotkało się z zarzutem ekspansjonizmu, czy dążeń asymilacyjnych wobec sąsiednich grup regionalnych.

Na Pomorzu zmały obecnie przesłanki dla utrzymywania się silnych sprzeczności między postawami autochtonizmu ludności rodzimej i migracyjności ludności napływowej. Jednak na ich współżyciu społeczno-kulturowym ciąży nadal skutki polityki niwelacyjnej, które stworzyły podłoże antagonizmów wyrastających na tle rekompensowania przeszłości przez środowiska poprzednio zdominowane lub nawet w jakiś sposób dyskryminowane.

JAK BĘŁO, JAK JE?

Rok 91 zminął mie się w męgnieniu oka, nawetk nie wiēm cziēj. Robota, budacjō, graniē i, w całoscē, taczē wiclaniē się. Pisaniō, te nōwōżniēsziēgo, bēło dosc mało w przērōwnanim z przeszlima latama. Za to w żēcym osobistim czē materialnym mie szło jako tako, jak na te tu czasē, czego Wama tēż żēcze. Le nie je jaż tak dobrze, żebē miec wszētko narōż. Żelē się goni za dētke, tēj ni ma czasu na pisanie czē rozmiszlaniē. Po prōwdze, w tim materialistycznym obarchu jō jem gonił wiedno wokōł, a ob nen czas swiat w swoim historycznym marszu uszedł pōrē mil. „Pucz” w Moskwie, rozpadniēniē się Związku Sowieccziēgo, ogłoszeniē samostōjnosćē Ukrainiē, wojna midżē Serbama i Chorwatama, przemianē w Polsce i jinszēch krajach rządzonēch niedōwno przez komunystōw itd. Jō na to wszētko zdrzōł z górē, z daku nowobudowōny chēcze abo dze pode drogā, z okna autobusa, w biegu. Nie zbiēgało mnie wiele czasu, żebē się przēdzrzec politicznēmū żēcēmū. Za to jō się stōł barżi podobny do miliōnōw „normalnēch” lēdzy, chtērnēch żēcē minie się przē tim wiecznym gōnie za chlēbkę. No moje znormalniēniē je zgōdnē z dēchē czasu. Ko całō Polskō, wespōł z Węgrama i Czechama sta się blēższō swiatowi normie.

Choc zanōleżi do jaczi normē mē się przēmierzimē. Bo normā tu dzysō je nieustōwajacō reforma, a nawetk rewōlta i wojna. Ale mē, ze swōjēgo pograńczō midżē Europā a Azjā tesknimē do spokoju, porzādku i bogactwa. Le spokōj, jak mē wiēmē, np. ōrtu „pax sovietica” może bēc cēżczy do scērpieniō.

— Za komunē jak bēło tak bēło, ale bēło... — takā gōdkę jō terō czēsto czējē kole se. Tak wzdichajā colemało ti, co mielē dobrē układē we firmie, nōleżelē do POP-u, moglē użiwac dludżiēgo blifka, tzn. wēchodzēlē pōł godzēnē pōzdni od wszētczich, a wpi-sywelē so trzē abo sztērē nadgodzēnē. Niedōwno jō się przēstlēchiwōł taczī gōdce i cziej jem uczul, że to wnetk bādze za mało powroza dlō tēch, co bē się chcelē powiesēc, jō się odezwoł:

— A w jaczych latach, za komunē, bēło tak dobrze?

— Nē, nie pamiętōm tak dokłādnie, ale dzes kole szeszedzēsātēgo piātēgo roku.

— A pamiętōsz tē rok sētmiēdzēsāti abo osmiēdzēsāti, cziēj „komuna” bankrōtowa?

Okōżało się, że nen człowiek pamiętō jak mu wnenczas szło dobrze. Bo on zarōbiōł miēj, ale dorōbił się mieszkaniō, lodōwczī, telewizra a nawetk auta. Nen całi dorōbek, od czasu Gomulki do Jaruzelscziego, zesēmowōł mu się w jeden miłi ob-rōżk: dobrocēzna. Jō mu przēbōczil, że „komuna” to są tēż lata staliniwscziē i pamiętnē lata 68-70; że za

przēscygniē CZASU

„dobrēch” lat gierkowsczych Polskō żēła na bōrg, za pożēcznē dētczy; że to są tēż czasē stanu wojnowēgo, ustēgowaniō na Koscōł, ochēba i lżawica w pub-likatorach, panoszeniē się czerwiony magnateriji; że przē ostatku, dzysēszo biēda i zepsēcēzna są nā całā spōdkowiznā po tēch tam „dobrēch” latach i rżā-dach.

Terō miasta wieczorama chłōsā bogactwē towa-rōw wēstawionēch do przedaniō. A jēs mē so wdarzimē niedōwny czas, cziēj towōr, żelē leżōł w krōmie, bēł zastrzegli na talōnē, np. dlō MM. Chtēż dzys teskni do ny wōrpowi statecznosćē lat komunē? Są taczī. Jō bē jich wesōł za Ural.

Po prōwdze, to je tak, jak z młōdā pōrā: po piērwszim zasłēpiēniē przēchōdō szarō codniowota. Za komunē każdi le wēzērōł za jaczim trzēsēniē zemi czē burzā, co bē rozwałā w pērżnē nen dotēchczasny porzādk. Le potemu, po burzē, przēszedł czas odbudiwaniō i normalizacēji. A okōzywō się, że to je trudniēsze jak wēgraniē bitwē. Trzeba wrōcēc do dōm, zawiesēc szablē na scanie i przēložēc rękę do plēga... A to je dopiērku poczātk. Kto żniwa przīndā pōzdni.

Po prōwdze, reformē w Polsce jidā drēgo. Ustawē w Sejmie bēlē przēscygnē. Miēszk rządowi, budżet, szarpōny na wszētczē stronē je dzurawi. Narōd biēdniejē, bezrobotnēch przēbiwō. Ale deficytowē fabriczi trzeba zamknāc abo przerobic, a na nowē inwesticje ni ma dētkōw. Za grāncā mieszkajā bogati „wujowie”, ale są dlugo namiszlajā z otmikanim swēgo miēsżka, bo w Polsce zwēsk nie je pewny. A tu czēc są glosē, że polszczy majātk je oddōwōny za pōł darmo w cēzē ręce. A ko, jak no się gōdō: chto chce miec cepłō, musi zlēdac dim, tzn. chto chce zarobic, musi jic na służbē do bogōcza.

Jiwiernē zjawiszczē, w proporcjonalno miēszi skalē, mē widzīmē na Kaszēbach. Z jedny stronē mē bē chcelē, żebē Kaszēbi się bogacēlē, żebē ni muszelē przedawac swoji zemi w cēzē ręce, żebē się jimelē biznesōw (np. budowelē goscyńcē), z drēdzi, mē bē pragnēlē zachowac naji domōcy nōrcēk w nienarē-szonym stanie. Mōmē strach, że turistikā stōniē się jēs jednym gōzdżē do zarku kaszēbiznē. Ale żelē nie turistika, tēj co, kopalniē, hētē? A ko cziēj lēdze majā tu, na Kaszēbach, ostac, nasz regiōn musi jich żēwic. Żelē nie mdzemē mielē jaczi szērszi udbē o tim, jak mō w przīndoscē wēzdrzec gospodarka na mōlēch Kaszēbach, tēj ni ma co mēslec o zatrzymaniu tu lēdzy, Kaszēbōw. Ko mē bē so żēcēlē, żebē Kaszēbi, zamiast rozpliwać się w gduńsko-gdińszci aglomera-cēji, rekaszēbizowelē Pomorzē...

Je takô jedna, zwyczajnô wies na Kaszëbach, niedalek „trujmiasta”, dze jô tój nisëj biwóm. Przed drëgą swiatową wojną bëła to wies „jak paralusz”: pôrë gburztw zgrëpkowónëch kole karczmë i pôrë-nôsce përzne dali, na pustkach. Ob wojnę niechtërne gospodarstwa upadłë — chłopi bëłë wëwiozli na robotë abo wżëti do wojska. Po wojnie na wies dludzië lata ni mogła stanąc na nodzi. Kołchozu tu, prôwdac, nicht nie próbował zakładowac, ale powojnowé rządë pomogłë wiele lëdzóm oddzëkowac së ze swoim gniôzdë. Opuszczone pola zarôstałë oszôcą pokąd, po przëjëmym jich przez Państwowi Fundusz Zemi, nie wżëło së ze nie Kółko Rôlnicze. Za Gierka zaczęło së nabiwanie zemi przez nowëch lëdzy. Ti przëbëczny nie bëłë colemalo tak zniechëcony do gospodarczy jak Kaszëbi, ani tak ostrôzny. Brelë smialo wiëldzić kreditë i budowelë masywnë kurniczi i chlëwë. Niejedny z nich, rësniëszci politicznie, rôd jimełë së dzejaniô w zarządze gminë. Oni ni miełë, wikszim dzëlë, tëch wãtplëwosc, co nasi lëdze: czë człowiek partijny może bëc zbawiony? Zresztã, w tamtëch latach, w tim tam karnie gminnëch aktywistów nikomu nie szło o jakãs dejã, a żëlë nawetk, tój to ideologijô kuma („jô stoję przë kumie, të stojisz, on stoi, oni stojã”... itd. — jednym słowë: kumoterstwo). No karno trzymało rękę na pulsie i miało dobré rozeznanie w sprawach „obrotu ziemi”. Jidze o to, że ziemia położonô blisko miasta je dobrim towarë. Le trzeba miec përzinkę cërplëwotë, jaż nen towôr nabierze wórtnotë. Nôprzód trzeba jë wëkupic, jak nôtani, w dobrim placu, z wigódnym dojazdë krótko

szasëjë. Le w gminnëch papierach, w kartach geódezyjnëch i jinszëch pismionach je nieporządk. Są tam jesz zôpisë i mapë sprzed piërszi wojnë a nawetk starszë. Tëj, żebë rozgrëzc ne zapëzglónë sprawë muszi së nalezc dobri prawnik. Tak dobri, żebë nie gnërził za wiele. Nen, za dobrã opłatã (dô mu së sztëczk od ny ziemi...) zrobi porządk w pismionach tak, żebë wszëtko grało. Do spólci muszi bëc dopuszczony tëż znóny miernik, swój człowiek, cobë nie mrëczôł przë wnôszanim korektów do kartów, cziej mu së nie mdze co zgôdzało.

Wszëtko bë szło tak dali, le së skuńczył nen piękny czas, cziej no bëło jak bëło. Zaczëło së odsuwanië stôri nomenklaturë od rządów w gminie, a lëdze ze wsë zaczęłë smieli gadac o złodziejstwie. Le terô nowô władzô, nowi radny i wójt ni mają letczëgo żëcëgo. Ko żebë së dobrac do skôrë kradnisowi kaszëbsczëgo piôsku, trzeba przekopac górë pismiôn a często bë muszôł odkopac gnôtë winowajców z przeszłëch „dobrëch” lat. Inszi złodzeje są ju dzys krëchima starëszkama, a jesz jinszi, niedówny prominencë, są zôs w awangardze, tzn. krãcã së blisko gminnego urzëdu i dbadã o swoje sprawë: zacërajã stopë rëkama swoich lëdzy (nowëch urzëdników jesz za wiele ni ma, le są ti stôri wëżëracze). Oni, niedówny panowie gminë, wiedzą jak së przëcmulëc do nowëch, solidarnoscowëch dziejarzów. A Kaszëbi i ti z przëbëcznëch, co utcëwie nabëlë swoję ziemië, pitają së swoich nowëch radnëch: kogu stronë wa, tak po prôwdze, trzimôta?



Karolina Graban. Bórëwa

Któregoś dnia zjawił się w „Pomeranii” Kazimierz Kossak-Główczewski, oznajmiając, że dokonał ciekawego i pouczającego odkrycia. Na potwierdzenie swoich słów wręczył dowód rzeczowy w postaci broszurowego wydawnictwa noszącego wymowny tytuł „Stolemy”. Już pierwszy pobieżny rzut oka na treść i estetyczną oprawę „Stolemów” upewnił, iż rzeczywiście pan Kazimierz nie przesadził w entuzjastycznej ocenie rzeczzonego dziełka. Stanowi ono w całości owoc pracy i pomysłowości milusińskich, a mianowicie dzieci uczących się w I-ej, II-ej klasie Elementarnej Szkoły Społecznej w Malborku.

Przyjemne zdziwienie, wywołane lekturą „Stolemów” byłoby mniejsze, gdyby autorami tekstów i rysunków były dzieci z jakiejś szkoły na Kaszubach. Wiadomo, one przecież na co dzień, częstokroć doskonale władają językiem kaszubskim, słuchają opowieści o purtkach, stolemach, krósnietach i mitycznych duchach jak Borowc, Polnica. Wytwory tradycyjnej sztuki ludowej nierzadko zdobią ich domy i szkoły. Są więc jakby w uprzywilejowanej sytuacji. A jednak to właśnie dzieci z Malborka, z dała od Pucka, Kartuz i Wieżycy udowodniły, że potrafią świetnie wczuć się w legendarną przeszłość regionu i wyrazić słowem i obrazem to, co stanowi o specyfice i niepowtarzalności kaszubszczyzny.

Oczywiście same dzieci, bez pomocy pedagogów nie opracowałyby tej układanki, osnutej na kanwie legend i baśni zapisanych przez Florianą Ceynowę, Aleksandra Majkowskiego, ks. Bernarda Sychtę, Alojzego Nagla i innych autorów. Wszelako suchy przekaz treści nie wystarcza, by zainspirować młode umysły do twórczej pracy. Toteż dyrektorka Elementarnej Szkoły w Malborku, pani Anna Dereń, zorganizowała swoim podopiecznym dwutygodniowy pobyt w sercu „modrego kraiku” — czyli w Gołubiu Kaszubskim. Zetknięcie dzieci z pięknem wieżyckiego krajobrazu niewątpliwie podziało na ich wyobraźnię. Spotkania z mieszkańcami Kaszub, wycieczki do ciekawych miejsc i miejscowości dostarczyły im niezapomnianych przeżyć.

Przede wszystkim pozwoliły odkryć, że źródłem inności i oryginalności Kaszub są prastare korzenie kulturowe tej ziemi. Dla malborskich dzieci żywym wykwitem tego korzenia jest galeria legendarnych postaci — Stolem, Diöcheł, Borowc... Poszczególne wątki narracyjne, tajemnicze symbole kulturowe zainspirowały dzieci do przedstawienia własnych ujęć — własnej wizji kaszubskiego pardemonium. Swoistych walorów nie odbiera mu typowo dziecięca naiwność i baśniowa niesamowitość, widoczna w narracji, w rysunku postaci.

Prawdopodobnie jest to skutkiem stosowania odmiennych w porównaniu z tradycyjną szkołą metod nauczania i wychowania.

HISTORIA



Cota Radlek Orłowski "Cota" Radlek Orłowski

E I MITY



Zborcia "Skamieńcha"

Organizacja nauki odbywa się w niewielkich 13-osobowych grupach. Normą jest tu w klasach iście domowa atmosfera — zastąpienie rygoryzmu i odgórnego dyktatu, bazującego na „podległości”, przyjacielską pomocą w samodzielnym radzeniu sobie z problemami w grze ze światem, z innymi ludźmi. Oto jedna z zasad, którym w swej pedagogicznej praktyce hołduje pani Dereń: świat wokół nas, choć niewolny od cierpienia, charakteryzuje się swoistym pięknem i niezwykłością. Kto dostrzega urodę świata kultury i przyrody, temu łatwiej zakorzenić się w rzeczywistości. Wniosek? Jednym z najważniejszych zadań jest pomaganie w sposób subtelny małej istocie w kształtowaniu zmysłu podziwu i zdolności do zachwyceń. Tylko człowiek o takiej formacji duchowej, czyli ukształtowany w głąb, będzie przygotowany aby zbudować własną tożsamość. W przeciwnieństwie do swych rówieśników, którzy szukają punktów oparcia wyłącznie na sypkim piasku kultury masowej będzie bardziej otwarty na drugiego człowieka, na wartości religijne, na to, co przerasta człowieka.

Trzeba więc tworzyć odpowiednie warunki ułatwiające dziecku wybór tego, co najistotniejsze. Chodzi p. Dereń o to, by związać je z najbliższym otoczeniem. Przywiązanie do pomniejszych ojczyzn zapobiega wyobcowaniu kulturowemu. Uwrażliwia na wartości ogólnoludzkie. Te ogólne założenia należy tłumaczyć na język praktyki pedagogicznej. Jednym z praktycznych przedsięwzięć była właśnie wyprawa dzieci na Kaszuby po złote runo legend i mitów. Wyprawa udana.

Upewniłem się o tym podczas spotkania z dziećmi w ich malborskiej szkole, która jakby przycupnęła u stóp potężnej warowni malborskiej. Niski domek z cegły, w którym ona się mieści, robi wrażenie Chatki Puchatka. Dzieci czują się tu dobrze. Bliskość zamku, częste zajęcia w jego murach sprawiają, że historia staje się dla nich prawie dotykalna. Dotknięcie Kaszub też pozostawiło w świadomości dzieci trwałe ślad. Zasypywały mnie wprost gradem pytań, które świadczyły o tym, że oprócz wątku baśniowego fascynowała je „dziwna” mowa i ziemia bogata w jeziora i lasy. Nie pozostanie ona chyba jedynie pocztówką z przeszłości.

Włączanie do edukacji dzieci pierwiastków kultury Kaszubów, Górali czy Kurpiów nie jest jakimś zwrotem w stronę egzotyki czy rekwizytu. Tak jak w przeszłości sprawdzone wartości określały człowieka, tak i dziś powinny go określać. Dlatego też pani Dereń najbardziej odpowiada koncepcja szkoły etnologicznej, czyli takiej, która nawiązując do tradycji kreuje silne osobowości, doceniające znaczenie ciągłości kultury, nie zagubione w świecie, wrażliwe na dobro.

Stanisław Pestka

Kaszuby

Teren Kaszub kształtowały Stolemy. Jest tam dużo jezior i pagórków. Nazwa pochodzi od małych trawek porastających jeziora. Kaszubi zajmowali się rybołówstwem dlatego, że jest dużo jezior. Do łowienia ryb mieli specjalne wierzsze. W małych łódkach przechowywali ryby i te łódki pływały za dużymi łódkami. Kaszubskie naczynia poznaje się po wzorach: tulipanach, rybich łuskach. Tulipan to narodowy znak Kaszubów, ale rybie łuski to są znaki rybołówstwa, tradycji Kaszub.

Bartek

Mit o tym, że były raz sobie wielkoludy, które nazywały się Stolemy

Stolemy to były wielkoludy. Stolemy mieszkaly w grotach. Groty były z kamieni. Stolemy ubierały się w stroje z liści i gałęzi. Pewnego razu postanowiły się wykapać. Kopały duży dół i dokopały się do wody. Tak bardzo chciały się wykapać, że poszerzyły ten dół i stał się on jeziorem. Z odrzuconej ziemi powstały pagórki. Najważniejsi ze Stolemów nazywali się „Kasz” i „Uba”. Kłócili się ze sobą, jak nazwać tę ziemię. W końcu postanowili połączyć imiona w jedną nazwę — Kaszuby.

Opowieść o tym, jak Stolem pomógł chłopu

Była raz sobie wioska i łąka, ale między wioską, a łąką była przepaść. Przyszedł mieszkaniec wioski i zobaczył na łące wspaniałego rumaka. Nie mógł się do niego dostać. Potem spotkał Stolema, którego poprosił o pomoc. Stolem obiecał mu pomóc, jeżeli przez cały rok będzie mu łapał ryby. Tak się stało. Stolem wziął głaz i wrzucił do przepaści. Rybak mógł przejść do konia.

Opowieść o tym, jak Stolemy las sadziły

W krainie Stolemów nie było lasu tylko pojedyncze drzewa. Stolemy postanowiły zrobić las. Wykopały dołki i włożyły tam gałązki z pojedynczych drzew. Codziennie podlewały je. Po pewnym czasie urosły i stał się las.

Staś



„Polnca”

Marta Raczyńska



Staś

1994 STAS CIECHANOWSKI

Stolemy

Stolemy kształtowały ziemię z kamieni, gór, lasów, jezior i roślin. Były to olbrzymy, które stworzyły przyrodę. Buszowały po terenie Kaszub. Robiły jeziora małe, duże. Jedno zrobiły najbardziej szerokie i głębokie. Zostało ono nazwane przez ludzi Jezioro Dąbrowskie. Stolemy były o wiele większe od człowieka. Pracowały dniami i nocami, tygodniami, a nawet latami bez przerwy. Żyły przed naszą erą razem z ogromnymi zwierzętami — dinozaurami. Zbudowały piękny raj. Ludzie nazwali tę krainę Kaszubami. Po kilku milionach lat człowiek zaczął przeobrażać się.

Mit o Stolemach

Dawno temu, kiedy jeszcze nie było ludzi, były cztery kamienie. Pierwszy kamień nazywał się STO, drugi LE, a trzeci MY. Potem kamienie pękły i wyszły z nich wielkie stwory. Te stwory wiedziały jak mają na imię, lecz nie wiedziały, że mogą mieć wspólną nazwę. Gdy czwarty kamień pękł, wyskoczył mały stworek i zawołał:

— Cześć Stolemy!

Mit o Stolemach

Dawno temu żył sobie jeden Stolem. On chciał mieć przyjaciela. W cichą spokojną noc, kiedy Stolem spał, podszedł do niego drugi Stolem i położył się obok niego. Gdy nadszedł ranek, Stolemy obudziły się. Pierwszy Stolem zapytał drugiego:

— Jak masz na imię?

— Stolem. A ty jak masz na imię?

— Stolem!

Ucieszyli się, że mają taką samą nazwę, objęli się i poszli.

Zborcia

Przygoda Stolemów

Szły sobie raz Stolemy prosto przed siebie, a jeden Stolem nie chciał iść prosto. Chciał na lewo do małej chatki, a inne nie chciały. Poszedł więc sam. Po paru minutach Stolemowi zrobiło się nudno samemu. W końcu zobaczył chatkę. Stolemon też zrobiło się smutno, więc postanowiły napisać do niego list, dać go ptakowi, żeby on oddał go Stolemowi. Ale zapomniały jak się pisze. Szły tak, aż spotkały chłopca i poprosiły go, żeby napisał im list. I chłopiec pisał, co Stolemy dyktowały mu. Później Stolem dał list ptakowi, a ptak oddał go Stolemowi, a ten przeczytał list i dowiedział się jak wrócić do innych Stolemów. Więc zaczął iść najpierw w prawo, a potem w lewo i prosto, aż spotkał Stolemy. Stolemy przywitały się i zaczęły wracać do domu.

Joasia

O Stolemach

Jak Stolemy kichnęły, to ludzie uciekali, bo myśleli, że zbliża się trzęsienie ziemi. Kiedy Stolemy odganiały muchy od siebie, to robiły taki wiatr, że drzewa kładły się na ziemi. Cesały się korzeniami drzew. Kiedy szły, to zahaczały nosami o chmury. Stolemy kładły się wcześniej spać, bo musiały mieć dużo siły do budowania Kaszub. Pagórki służyły im za poduszki, a nogi moczyły w jeziorach, dlatego woda w jeziorze kaszubskim jest rano ciepła. Na śniadanie zjadały pół łąki i wypijały wodę z rowów. Stolemy zbudowały Kaszuby. Drogi robiły dwoma palcami. A w odcisniętych stopami śladach powstawały jeziora.

Karolina

Co to jest Pólnica?

Pólnica to inaczej opiekun lasu. Opiekuje się roślinami i pilnuje, żeby był porządek w lesie. Skąd bierze się nazwa Pólnica? To słowo pochodzi od pól.

Jakie są kolory w lesie?

Żółty, ciemno żółty, zielony, ciemno zielony, czerwony, ciemno czerwony, brązowy, ciemno brązowy, czarny. Zostałam wybrana Pólnicą. Pólnica odżywia się ziołami i wszystkim czym ja powinnam. Jako Pólnica mam swoich przyjaciół: Borowca, Cotę, Stolemów, Mumocza i wrogów: diabłów, Krasnala i innych.

Marta

Rujawc

To jest opiekun wędrowców i tych, którzy zgubili drogę do domu. Zaprasza zmęczonych wędrowców do swojego domu, gdzie mogą odpocząć i ogrzać się. Rujawc ostrzega wędrowców przed niebezpieczeństwem. Zagubionym wskazuje właściwą drogę.

Sławek

Mumocz

Ja jestem Mumoczem. Mumocz opiekuje się różnymi wodami. Odżywia się wodorostami, szuwarami i wodą. Mumocz ma na sobie łuski po to, aby ochraniały go, jak będzie szorował o dno i o szuwary.

Opowieść o Skrobowcu

Skrobowiec żył w czasach, kiedy żyły też Stolemy. Był on małym diabełkiem leśnym, który mógł się zamieniać w różne kolorowe postacie. Mieszkał na skraju lasu w cichej, dużej norze, która nazywa się Jama Skrobowca. Skrobowiec przyjaźnił się z Mumoczem, Roczytnikiem, Rujawcem, Zgrzechą, Cotą, Grzenią, Skamżochą, Pólnicą, Purtkiem i Stolemami. Skrobowiec wędrował najczęściej po lesie po to, aby nazbierać grzybów i mchu. Na spacerzy wychodził rano, po południu i wieczorem. Skrobowiec jadał grzyby i mech. Zbierał pióra i cenne kamyki.

Skrobowiec znał cały las na pamięć i dlatego chodził z przyjaciółmi na spacerzy, z którymi psocił się trochę innym. Skrobowiec lubił kotki i pieski, a także lubił siedzieć na drzewach, lubił też bardzo pływać. Skrobowiec był wzrostu stopy Stolema. Niedaleko lasu były domy. Tam Skrobowiec najczęściej robił psikusy. Wszyscy w lesie znali go, a zwierzęta mówiły do siebie:

— Widziałeś kiedyś Skrobowca?

— Tak. Fajny to diabełek.

Borówc

Borówc jest dobrym duszkiem, mieszka w lesie. Pomaga rosnać roślinom. Pomaga w zimie zwierzętom zdobywać jedzenie. Zabłąkanym wskazuje drogę. Przypomina zwierzętom o zbieraniu zapasów przed zimą. Dbą o las i o porządek. Jest przyjacielem wszystkich Stolemów.

Bartek

Mit o Skamżosze

Dawno temu Kaszuby były gęstym, tajemniczym, ciemnym lasem. W tym lesie, na jednej z brzoź mieszkał mały diabełek, który miał na imię Skamżocha. Diabełek miał kolegę, który nazywał się Latawiec. Diabełki psociły się ludziom. Na przykład raz stał sobie pewien pan, przeszedł diabełek i pan zamienił się w misia. Gdy diabełki zrobiły psikusa, cieszyły się bardzo. Teraz wiecie, jak diabełki psociły ludziom.

Marta

Zgrzecha

Zgrzecha jest to diabełek leśny, który ciągle psoci. Jak diabełek przeszedł koło człowieka to człowiek przemieniał się w misia, a gdy wracał, to z misia znów stał się człowiekiem. Diabełki robiły pułapki na ludzi, a same w nie wpadały.

Adaś

Co to są wykopaliska archeologiczne?

Wykopaliska archeologiczne to są pozostawione rzeczy naszych przodków, czyli ludzi z prehistorii, starożytności i średniowiecza. My w szkole mamy taki kącik archeologiczny, w którym jest już bardzo dużo wykopalisk.

Tomek

Opowieść o kręgach kamiennych

Gdy byliśmy w wężiorowym lasku Adam archeolog badał z nami kręgi kamienne. Jeden kamień był większy od Tomka. Były też górki obłożone kamieniami. Odkryliśmy, że górki były to grobowce Stolemów, a kręgi to ich zegary.

Bartek

MIASTO ŁĘBORK I GMINA NOWA WIEŚ ŁĘBORSKA

alfabet
kaszubski

Miasto Łębork i gmina Nowa Wieś Łęborska, stanowiąca jego bezpośrednie zaplecze, położone są już poza obszarem dialektów kaszubskich, w północno-wschodniej części województwa śląskiego. W myśl stosowanego podziału należą — podobnie jak dotąd rozpatrywane: gmina i miasto Człuchów, gmina Gniewino i Kolbudy — do warstwy IV. Przed wojną łęborskie znajdowało się poza granicami państwa polskiego. W mieście odesłano 45 proc. ankiet, w gminie 36 proc.

ŁĘBORSKIE — KASZUBSKIE POWROTY

Historycznie szczególnie silnymi ośrodkami oporu przed germanizacją były środowiska kaszubskie w Bytowskim i Łęborskim. Z czasem i one ulegały wpływowi niemieckim. Po wojnie Łęborskie, jako część Ziemi Zachodnich, podlegało typowym procesom generalnej wymiany ludności. W przeciwieństwie jednak do Bytowskiego, Kaszubi i pół-Kaszubi stanowią tu mniejszość — ok. 40 proc. Daje się natomiast zauważyć różnicę w procesach adaptacji. Otóż w Łęborskim emigracja do Niemiec występuje w nieporównywalnie mniejszej skali niż w Bytowskim, gdzie objęła także miejscowości znane z historycznego trwania przy Polsce, jak np. Rekowo. Nie ma tu także atmosfery „płynnego pogranicza”, tak charakterystycznej dla terenów bytowskich. Generalnie, odtwierdzanie się kaszubszczyzny jako skupiska Kaszubów miało w Łęborskim znamiona większej stabilności terytorialnej.

Spośród tych, którzy odesłali ankietę 50 proc. z miasta i ok. 43 proc. ze wsi legitymowało się w pokoleniu rodziców pochodzeniem niepomorskim. Dominowały wyraźnie dwie grupy przybyszów: z kresów wschodnich i z Polski centralnej. Charakterystyczne jest, że ci pierwsi osiedlali się niemal wyłącznie w mieście (36 proc.). Były to przede wszystkim, według kolejności wymieniania, osoby pochodzenia wileńskiego, lwowskiego, nowogródzkiego, grodzieńskiego i z innych ziem. Z kolei najliczniejszą grupę spoza kresów, osiedlającą się w Łęborku (16 proc.) i w jego okolicach stanowili mieszkańcy ziemi kieleckiej, a następnie lubelskiej. Znaczącą liczbę stanowiły też osoby rekrutujące się z poznańskiego i wrocławskiego. Zarejestrowałem także pojedyncze przypadki pochodzenia niemieckiego (0,5 proc.), a nawet holenderskiego.

Jest charakterystyczne, że ponad 1/3 mieszkańców gminy to autochtoni urodzeni na ziemi łęborskiej lub, rzadziej, choczewskiej; w mieście zjawisko to występowało sporadycznie. Przybysze z innych gmin województwa śląskiego, przed wojną terenów niepomorskich, należeli do rzadkości. W tej kategorii ludności, tzn. migrantów z Pomorza (przeszło 50 proc.), dominowali Kaszubi. W mieście z rodzin kaszubskich lub półkaszubskich pochodzi 39 proc. osób, na wsi — 43 proc. Przybyli oni tu z różnych gmin rdzennie kaszubskich, zwłaszcza z sierakowickiej, ale też z kartuskiej, wejherowskiej, Lini i in-

nych, a także sporadycznie z Kociewia — z Nowej Karczmy i Skórcza — oraz z Gdyni i Gdańska.

RÓŻNE WYMIARY AUTOCHTONIZACJI

W pokoleniu badanych, co jest zrozumiałe, zmniejszają się odsetki osób urodzonych na kresach wschodnich, kielecczyźnie, lubelszczyźnie i w innych województwach. Stanowią oni już niewiele ponad 1/4 całej zbiorowości mieszkańców ziemi łęborskiej. Dominującą grupę stanowią osoby urodzone, często w drugim pokoleniu, już „na miejscu” — ok. 40 proc. Wśród Pomorzan należy wyróżnić, jako grupę o najwyraźniej wyodrębnionej tożsamości, przybyszów z obszaru dialektów kaszubskich (22 — 24 proc.).

W Łęborku 27 proc. ankietowanych zadeklarowało przynależność kaszubską, a dalszych 12 proc. półkaszubską. Jeśli nawet w świetle syndromu „kaszubskości” proporcje te nieco się zmieniają (Kaszubi — 21 proc., pół-Kaszubi — 19 proc.), to i tak Kaszubi stanowią najliczniejszą grupę regionalną. Podobnie sytuacja wygląda na wsi, mimo iż Kaszubów jest tu mniej niż w mieście (17 proc.), jednak wraz z pół-Kaszubami stanowią oni aż 41 proc. mieszkańców gminy. Jest przy tym charakterystyczny „kierunek identyfikacji”. Otóż 38-50 proc. osób deklarujących się jako pół-Kaszubi pochodzi z rodzin niekaszubskich, podczas gdy tylko 6 proc. rodzin uważających się za niekaszubskie w mieście i 22 proc. na wsi legitymuje się częściowym lub pełnym rodowodem kaszubskim.

Identyfikowanie się zatem osób pochodzących z rodzin niekaszubskich w kategoriach częściowej lub pełnej kaszubskości, można odczytać jako świadomościowy — drugi obok pochodzeniowego — wymiar autochtonizacji.

Nie-Kaszubi zarówno w mieście, jak i na wsi stanowią większość mieszkańców — ponad 50 proc. Mamy także nieliczną grupę osób — 6 proc. — które nie chciały lub nie umiały określić się w ramach dychotomii: „Kaszubi — nie-Kaszubi”. Proszeni o bliższe określenie swojej przynależności identyfikowali się jako „Polacy”, a w drugiej kolejności jako „Pomorzacy”. Pewna liczba osób zadeklarowała przynależność kresową (wileńskie, lwowskie); odnotowałem także pojedyncze przypadki deklaracji kociewskich, mazurskich i ukraińskich.

TYPY I WARIANTY ZAWIERANYCH MAŁŻEŃSTW

Większość osób zamieszkujących w Lęborku (59 proc.) i w Nowej Wsi Lęborskiej (57 proc.) jest z pochodzenia nie-Kaszubami. Nic więc dziwnego, że dominującym liczebnie typem są małżeństwa niekaszubskie. W pierwszej z wymienionych miejscowości — 48 proc., w drugiej — 40 proc. Czysto kaszubskich rodzin lub z dominantą kaszubską (K + PK) jest w mieście 23 proc., na wsi — 20 proc. Ponadto mamy typ rodzin mieszanych w różnych wariantach. W mieście najczęściej występuje wariant małżeństwa między Kaszubą a nie-Kaszubą (20 proc.), natomiast w gminie przeważają małżeństwa w środowisku pół-Kaszubów (20 proc.), lub też w wariantcie: pół-Kaszubą — nie-Kaszubą (20 proc.). Ogólnie można powiedzieć, że małżeństwa są mechanizmem integrującym, jest to jednak proces powolny, idący w kierunku raczej autochtonizacji pomorskiej niż kaszubskiej, jak zobaczymy na przykładzie przekazywania mowy kaszubskiej.

W MIEŚCIE MÓWIĄ PO KASZUBSKU CZĘŚCIEJ NIŻ NA WSI

W mieście 45 proc. wszystkich mieszkańców przyswoiło sobie mowę kaszubską choćby biernie. Nieco ponad 1/3 mieszkańców Lęborka, rekrutująca się spośród Kaszubów i sporadycznie pół-Kaszubów, używa języka kaszubskiego w praktyce i to na ogół z dużą częstotliwością. Nie tylko rozmawiają po kaszubsku, ale i czytają, pisanie jest już dużo rzadszą umiejętnością (ok. 14 proc.). W przypadku mieszkańców wsi znajomością mowy wykazuje się już tylko ok. 1/4 osób.

Gorzej przedstawia się tu też częstotliwość użytkowania mowy — rzadka oraz umiejętność czytania. Natomiast na wsi jest mniej osób, które nie rozumieją mowy kaszubskiej w ogóle (18 proc.), gros mieszkańców — 47 proc. — deklaruje jej rozumienie częściowe. W mieście proporcje te są odwrócone: 37 proc. nie rozumie mowy kaszubskiej w ogóle, a 17 proc. wykazuje się znajomością częściową.

Lepsza, ogólnie, znajomość mowy kaszubskiej w mieście może stanowić zaskoczenie, ponieważ dotychczas opisywane doświadczenia wykazywały zjawisko zawsze odwrotne: mocniejsze osadzenie kaszubszczyzny w krajobrazie społecznym i tradycji wsi. Brak tego oparcia dla Lęborka nie tylko przyczynia się do jego izolacji, ale może sprzyjać w przyszłości zanikaniu tożsamości etnicznej. Ogólnie, jak się wydaje, można wyróżnić trzy grupy postaw wobec języka kaszubskiego. Do pierwszej należą osoby, które używają mowę kaszubską na co dzień, na zasadzie więzi nawykowej, mimo braku lub osłabienia normy obyczajowej. Drugą grupę stanowią osoby, dla których język jest protezą na użytek rzadkich sytuacji, na gruncie grup pierwotnych, umożliwiających kontakt i wyrażanie ekspresji. Pozostali funkcjonują poza kręgiem języka kaszubskiego, także w nieoficjalnych kontaktach.

MOWA W STANIE ZANIKU

Okazuje się, że 84 proc. dzieci na wsi nie zna języka kaszubskiego w ogóle. Pozostałe 14 proc. ankietowanych deklaruje co prawda rozumienie mowy przez dzieci, ale jedynie na zasadzie bierniej znajomości, ponieważ nie posługują się nią w praktyce. W mieście zjawisko to nie przybrało tak drastycznych rozmiarów, chociaż i tu odsetek pozostających całkowicie poza zasięgiem znajomości mowy kaszubskiej jest bardzo duży — 59 proc. Część dzieci — 14 proc. — używa języka kaszubskiego, ale rzadko i kalecząco. Użytkowanie sprowadza się do wyuczonych,

stereotypowych zwrotów. Jeśli uwzględnimy kategorię pozostałych osób — 1/4 — znających język biernie, to widać, że i tak międzypokoleniowy proces przekazywania mowy kaszubskiej w mieście jest znacznie efektywniejszy niż na wsi.

BADANI O LUDNOŚCI KASZUBSKIEJ

69 proc. w mieście i 57 proc. w gminie wypowiadało się na temat ludności kaszubskiej i problemów zawartych w ankiecie.

Wypowiedzi mieszkańców miasta Lębork:

„Kaszubi w moim mniemaniu są grupą etniczną samolubną, prymitywną, o bardzo wąskim współczynniku inteligencji, bardzo zachłanni. W porównaniu z innymi grupami etnicznymi, np. Góralami, są o wiele mniej przyjemni, bardziej ograniczeni, nie potrafią być przywódcami, chytrość to ich nagminna cecha”. (NK, Pomorzanin, Nr 1387, M, 24 I, wyksz. niepełne średnie).

„Uważam, że jest to grupa szczelnie etnicznie zamknięta. Połączone małżeństwa polsko-kaszubskie są z reguły nie-szczęśliwe. Kaszubi chętnie łączą się z rodzinami niemieckimi, i te małżeństwa są trwalsze. Ta opinia wynika z moich obserwacji. Kaszubi to naród bardzo zawistny i złośliwy, są pełni takiej wyższości, wiedzą, że nie są tolerowani, ludzie często gardzą nimi, być może zasługują na to swoją postawą”. (NK, Pomorzanka, Nr 1407, K, 37 I, wyksz. zawodowe).

„Uważam, że ludność kaszubska jest bardzo ambitna, przywiązana do tradycji. Jest to społeczność pracowita i zdyscyplinowana, sumienna w wykonywaniu powierzonych obowiązków. Otwarta i przyjazna do innych, ale szczególnie do tych, którzy ich darzą sympatią i w stosunkach międzyludzkich nie uprzedzają się do ludności kaszubskiej. Pamiętają o krzywdach, jakich doznali po wojnie od ludności napływowej”. (NK, Pomorzanin, Nr 1470, M, ok. 30-35 I, wyksz. wyższe).

„Na podstawie tej ankiety nie tylko szeregowy milicji, ale i woźny GTN-u, nawet absolwent szkoły podstawowej w Luzinie lub Kuźnicy, będzie w stanie w ciągu dwóch dni ustalić moją tożsamość. Mimo to piszę szczerze. Ciekaw jestem wyników badań. O ludności kaszubskiej myślę, że doświadczyła wiele, jak i reszta społeczeństwa. Czy wędrowała na daleką północ w mundurach Wehrmachtu, czy w mundurach polskich, nie taka znów różnica. Gorzej, że nieodpowiedni ludzie zostali tu skierowani po wojnie i chyba zatruli życie tutejszym rybakom i chłopom”. (NK — kresy wschodnie, Nr 1449, M, 62 I, wyksz. wyższe).

„W naszym mieście jest mieszanina ludności polskiej. Współżycie wszystkich grup układa się dobrze. Kaszubi to sympatyczni ludzie i bardzo pracowici. Sporo inwestują. W ich gospodarstwach panuje ład. Są patriotami. Nie słyszałam, aby rdzenny Kaszuba opuścił kraj”. (NK — kresy wschodnie, Nr 1422, K, 69 I, wyksz. zawodowe).

„Ludzie jak wszyscy inni, chociaż przypisuje się im niezbyt pochlebne cechy charakteru, jak wyjątkowa chciwość i zawziętość. Brak zrozumienia ich języka powoduje izolację”. (PK, Nr 1432, K, wyksz. podstawowe).

„Kaszubi mają swoje cechy narodowe, są pracowici i uczciwi, ale oszczędni i skąpi, to chyba z biedy, nigdy im się nie przelewało. Początkowo są nieufni, ale jak już otworzą drzwi to już i serce. Ludzi tych cechuje łagodność i zawziętość — upór w dążeniu do celu. Może ze względu na trudności w nauce, większość już od dawna nie miała aspiracji naukowych, lecz szybko i praktycznie zdobyć zawód. Jako grupa etniczna powinni Kaszubi przekazywać mowę i kulturę na następne pokolenie, ale to się dzieje.

Życzę im tego, aby nie zginęli z regionalnej mapy Polski” (NK, Nr 1450, K, 49 I, wyksz. wyższe).

„Urodziłam się w wsi kaszubskiej (Gowidlino). Rodzice moi też są rodowitymi Kaszubami. Jestem nauczycielką klas I-III (Lębork). Od najwcześniejszego dzieciństwa mieszkam w tym mieście. Co zauważyłam. Kaszubi bardzo rzadko piastują wysokie urzędy. Cechuje ich mała siła przebicia. Wydaje mi się, że od wielu lat na wsiach wychowywano dzieci na dobrych pracowników, ukończenie szkół średnich czy wyższych należało do rzadkości. Liczył się szybki zarobek. Nie było specjalnego pędu do nauki. Jest to też na pewno wynik wieloletniej germanizacji” (Kaszubka, Nr 1482, K, ok. 30 I).

„Mieszkam w Lęborku i uważam, że tutaj jest ludność mieszana, jest tu zanik wszelkich tradycji kaszubskich, nikt na ulicy nie używa języka kaszubskiego. Nie ma żadnych klubów i organizacji na podtrzymanie tej tradycji” (Kaszubka, Nr 1464, ok. 30 I).

Wypowiedzi mieszkańców Nowej Wsi Lęborskiej:

„Bardzo trudno mi cokolwiek napisać o ludności kaszubskiej, ponieważ mam bardzo mało styczności z nimi. Chociaż ojciec jest Kaszubem, to także mało, a prawdę mówiąc wcale, nie nadmieniam z nim takich tematów. Myślę, że to tacy sami ludzie, jak my.” (PK, Nr 1317, K, 31 I, wyksz. zawodowe).

„Myślę, że ludność kaszubska to ludzie bardzo pracowici, uczciwi, chociaż są i wyjątki. Tradycja kaszubska powoli wymiera, tak jak i mowa. Nasi rodzice, i my jako dzieci, znamy dobrze język kaszubski i posługujemy się nim na co dzień, ale nasze dzieci już tylko częściowo poznają mowę kaszubską, a tradycję jedynie z opowiadań, ponieważ my zawieramy związki małżeńskie z nie-Kaszubami, i te drugie osoby nie znają w ogóle mowy kaszubskiej. W naszej miejscowości jest ludność mieszana, tak więc w miejscach publicznych nie mówi się po kaszubsku, a jedynie jak Kaszub spotka się z Kaszubem”. (Kaszuha, Nr 1333, M ok. 30-35 I, wyksz. średnie).

Jak wynika z wypowiedzi, w niektórych środowiskach utrzymują się jeszcze pewne stereotypy. Charakterystyczne jest, że Kaszubi nie artykułują swoich ewentualnych uprzedzeń w kategoriach regionalnych, poprzestając co najwyżej na ogólnym określeniu „ludność napływowa”. Sami postrzegani są jako grupa o wyraźnie wykształconej tożsamości. U postaw ich samoizolacji, która nie zanikła całkowicie, leży dyskryminacja ze strony władz i błędy powojennej polityki; są to sprawy coraz lepiej poznawane. Znaczna część ludności napływowej na ogół uświadamia to już sobie i wykazuje się otwartą postawą, stanowiącą drogę do rzeczywistej, a nie zadekretowanej integracji, która ciągle jeszcze nie nastąpiła.

Wśród wymienionych cech etnicznych Kaszubów — wątek ciągle powtarzający się — warto zwrócić uwagę na przedsiębiorczość. W nowych warunkach cecha ta stwarza szansę na samoorganizację i rozwój społeczności kaszubskich. Jednocześnie ciągle nie rozwiązany jest problem, jak pogodzić postęp techniczny z zachowaniem tradycji i tożsamości kulturowej.

Mimo że badania były prowadzone pod koniec lat osiemdziesiątych, a więc w okresie pewnej już odwilży politycznej, ciągle jeszcze istniały różnego rodzaju zahamowania w artykulacji poglądów, szczególnie wśród ludzi legitymujących się wyższym wykształceniem (zob. Nr 1449). Daje to pogląd, jakie bariery musiał pokonać badacz, podejmując realizację tak ambitnego przedsięwzięcia.

Jerzy Łysk

Maleję kolebiónekę

Maleję ce słowem
Kolebiónekę
Wplôtając woniô kwiôtków
Szum lasów
E modrosc
Zaklętą
W modletwie morza

Maleję ce słowem
Kolebiónekę
Rozniécając skrë
Co ju po sztóce
Kwitnąc zaczinają
Zarë téż zwiôzdë
Jasni świecą

Robi so cepło
Coróz mocniëjszi ë mocniëjszi

Odchôdôsz w woniô
Kwiôtków
Szum lasów
E tę zaklętą modrosc
Ukrëtą
W modletwie morza

Odrzekni mie

Odrzekni mie
Słowë szmergnionym w remię
Dze jes
Luboto zelonégò miëku
Të chterny biël całô
Wëstrojonô kropelkama moklëznë
Nozdra pamięcë
Szrëwotno swidrëje
Odrzekni mie docz
W spik mój wchôdôsz
Patoląc so nocą
Czë po to blós
bolącë na dësz
Żebë
Rozdrapac na nowo

DZIECIĘCOŚĆ PO KASZUBSKU

Stare przysłowie kaszubskie powiada: „Chto sę na dzece spusci tego Pan Bóg opusci”. Przysłowia są mądrością narodów, a jednak chciałbym tym razem zawierzyć dzieciom, dopuścić je do głosu, uważniej przyrzeć się ich światu, specyficznej „subkulturze”, folklorowi minionych generacji, przede wszystkim zaś wizji dziecka w kaszubskiej literaturze i to zarówno pisanej, jak i tej, którą określamy mianem ustnej.

Pragnąc znaleźć odpowiedź na pytanie o miejsce i funkcję dziecka w literaturze i folklorze (w praktyce oba pojęcia tworzą nierozdzielny spójny obraz na gruncie kultury naszego regionu), skoncentrujemy uwagę w zasadzie wyłącznie na tekstach kaszubskojęzycznych. Te bowiem nadal przez wiele jeszcze krytyków traktowane są po macoszemu, choć przecież pisana literatura kaszubska, legitymująca się ponad stuletnią tradycją, doczekała się wielu setek utworów we wszystkich rodzajach literackich.

Respektując zasadę chronologii powinniśmy rozpocząć od pierwszego poematu kaszubskiego „O panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł” z roku 1880. Chociaż w utworze tym nie znajdziemy suwerennego bohatera dziecięcego, to jednak Hieronim Derdowski z ogromną subtelnością nakreślił w nim scenę kołysania do snu przez panią Barbarę — żonę tytułowego bohatera — małej Mareszki. Ileż w niej liryzmu i prawdziwej miłości matki do dziecka. Miłości, wobec której nie mogą powstrzymać łez wzruszenia nawet tak groźne i nieubłagane demony Kaszub, jak Smętk i Mora.

O mistyfikacji, jakiej dopuścił się Derdowski sugerując, że śpiewana przez Czorlińską pieśń jest prastarą kołysanką kaszubską z rodowodem sięgającym wieku XIV pisałem obszernie w książce „Z woli morza. Bałtyckie mitopeje”. Teraz pragnę tylko zwrócić uwagę na dziwną wewnętrzną sprzeczność psychologiczną obecną w tym epizodzie. Otóż mała Mareszka płacze w kołysce z tęsknoty za nieobecnym ojcem. Matka zaś koi smutek kołysanką przypominającą raczej lament po stracie ojca, którego Krzyżacy zabili na gdańskim rynku żelaznymi toporami. Ojca, na którego grobie dziecko kładzie wianek darowany mu przez anioła stróża.

Pozostając nadal w kręgu dawniejszej literatury kaszubskiej spróbujmy wydobyć z niej te teksty, które kreują pewien stereotyp dziecięcego bohatera kaszubskiego. Zwróćmy uwagę np. na te fragmenty „Sowizdrzola u Krębanów”, w których autor, Jan Karnowski, z niezwykłą wprost maestrią i humorem kreśli życiorys naszego rodzimego Eulenspiegla. Dodajmy, iż momentami przypomina on ludzako biografie samego Hieronima Derdowskiego (sfingowana śmierć w Rzymie i powrót na własny pogrzeb).

Rozdział „Jak Sowizdrzół sę urodził”, „Jak Sowizdrzół sę rożemu wuczył” i in. ilustrują znakomicie metodę literackiej kreacji tak specyficznego w całej jego rubaszości i komizmie bohatera, jakim jest ów frant, obieży-

wiat i wydrwigrosz. Skrobôcz — bo takie jest jego prawdziwe nazwisko, to odmieniec. Od innych dzieci różni się właściwie pod każdym względem:

„A babë mówił: to temu, że on sę w karczmie uląg, temu ten knôp sę często werodził i je jinszy jak drudzie dżęce (...) A rôz, jak bëlë cudzy lëdże w jizbie i z niego sę smielë, tej Sowizdrzół sę rozgorzël i rzek: Mamko, pódze chyże za piecciem dac cëca, bo jak nie, to wos diabli wezną”.

Jest więc ów młodociany kpiarz, który ma „fifów pełen miech, ale rożemu wej kask za mało”, od początku naznaczony piętnem inności. Podobnie zresztą jak młody Agust Szloga z szołobułka Leona Heykego, czy Agust Worzała — postać autentyczna, która zainspirowała Karnowskiego do napisania tekstu „Wórzałowe żęcë”.

„Figle i psë dónóte zawde sę jego trzymałë. Wiare krôsniëta mu cos zadale, jak jész leżół w kolebce” — czytamy w „Sowizdrzole u Krëbanów”. Jako chłopiec pasał gęsi i owce nad garczyńską rzeką. Ta opowiedziała mu historię o zapadłym zamku i królewiance, którą można wybawić przenosząc ją na drugą stronę rzeki, nie oglądając się wstecz.

„Jô bëm retowół tę królewionkę i bëm szed choć po samych padalcach i sę nie obezdrzół, choć bëm mie sam smok w jikra grëz” — powiada młodziutki pastuszek.

Bardzo podobną scenę pamiętamy dobrze z arcydzieła prozy kaszubskiej — powieści Aleksandra Majkowskiego „Żęcë i przigodë Remusa”. Tu także bohater tytułowy jest odmieniem. Jest dziwnym chłopcem ze skażoną mową, w świadomości którego otaczająca rzeczywistość, jawa, przeplata się ustawicznie z baśniową fikcją świata urojonego. Jest istotą żyjącą w odmiennym wymiarze świata. Remusek widzi to, czego nie są w stanie ani dostrzec, ani przeżyć inni ludzie. Jest ustawicznie, i to nie tylko w swym dziecięcym okresie życia, nawiedzany przez rzeszę duchów kaszubskich; tych dobrych spod znaku Ormuzda i tych złych z kręgu Arymana.

Remus, naznaczony skraj ormużdową, ma do spełnienia wielką dziejową misję. Inność bohatera nia ma tu więc nic wspólnego z sygnalizowanym wcześniej komizmem. Wnikliwość z jaką nakreślił Majkowski jego portret psychologiczny potęguje fakt, iż to właściwie sam bohater pisze o własnym dzieciństwie, o służbie u gospodarza Zablockiego na Lipińskich Pustkach, o pierwszym zeknięciu się z zapadłym zamkiem, zaklętą królewianką i trzema strasznymi zjawami: Strachem, Trudem i Niewarto.

Ta pierwszoosobowa (niby pamiętnikarska) narracja daje niezwykle efekt. Oto czytelnik odnosi wrażenie, że to właśnie ów dorastający chłopiec opowiada o swoich pasterskich przygodach. Jego oczyma oglądamy niezwykle sugestywnie nakreśloną scenę walki Remuska z Goliatem (żandarmem pruskim) oraz wiele innych jeszcze epizodów wypełniających akcję pierwszej części utworu.

Nic z klasycznego moralizatorstwa czy dydaktyzmu tradycyjnej literatury dla młodego odbiorcy nie przylgnęło, na szczęście, do utworu Majkowskiego. Natomiast ogromne jest nasycenie treści utworu pierwiastkami folklorystycznymi. Zarówno w tej powieści, jak i wymienionych wyżej tekstach, folklor stanowi naturalny komponent dzieła tkwiący integralnie w świadomości dziecięcych bohaterów i towarzyszący im na każdym niemal kroku. Dość wspomnieć o obrzędach, w których uczestniczą, obyczajowości, którą współtworzą i przekazach rodem z krainy baśni — jakże bliskich umysłowi dziecka, wreszcie pieśniach i porzekadłach obficie inkrustujących teksty. Tym samym tropem pójdzie, wiele lat po Majkowskim, gdański pisarz Franciszek Fenikowski, tworząc w biograficznej powieści „Zapadły zamek” literacki konterfekt dziecięcy (kolejnego po Worzale) autentycznego działacza kaszubskiego — Floriana Ceynowy.

Kontynuując poszukiwania bohatera dziecięcego w literaturze kaszubskojęzycznej natrafiamy na kolejnego „odmieńca”. Stworzył go znakomity, chociaż wciąż jeszcze nie w pełni doceniony, prozaik z kręgu czasopisma „Bënë ë Buten” — Alojzy Budzisz w utworze „Jak Koląbószów Krësztof tę Amerikę vëkrił”. Powiastka ta, w której poznajemy odkrywcę Nowego Łądu również w jego dziecięcym kaszubskim świecie, przypomina nieco utwory Jana Karnowskiego (którym poświęciliśmy wyżej nieco uwagi), tyle że Budzisz ukazuje świat w jeszcze bardziej groteskowo-karykaturalnej, by nie rzec surrealistycznej, konwencji.

Kiedy rodzina dziecka radzi nad imieniem, jakie nadać mu na chrzcie świętym, ono — już w kołysce doskonale władając kaszubszczyzną — radzi swemu wujowi z Gdańska, by zmienił pod nim mokrą pieluchę:

„Tere jô vjem, jakie miono më temu knôpu dame. Won so musi nazwac Krësztof za tim gduńskim Krësztofë (chodzi o Neptuna z fontanny przy Długim Targu J.S.) na tim długim renku, ten też vjedno moko pod sę robi”.

Nieprzeciętność postaci rodzimego Kolumba przyznaje sam narrator: „ju w kolibce beł apartni kuńsztôrz”, dając na dowód całą serię niezbyt przyzwoitych argumentów. Dość, że Krësztof szybko opanował trudną sztukę stawiania jaj „na sztorc”, by z tą umiejętnością zgłosić się do króla hiszpańskiego, a potem odkryć Amerykę.

Sądząc z tych kilku przykładów, wizerunek dziecka w literaturze kaszubskiej był w przeszłości dość oryginalny. Jest rzeczą symptomatyczną że wymienieni autorzy kreowali postaci szczególne, naznaczone od początku, czyli już w dzieciństwie, piętnem inności. Dzieła, o których mowa nie mają wyraźnego adresu czytelniczego. Zapewne nie były pisane z myślą o młodym odbiorcy.

Świadomość potrzeby stworzenia takiej literatury pojawiła się wprawdzie już w wieku minionym (przekład na język kaszubski przez Floriana Ceynowę bajki Puszkina „O rybaku i złotej rybce”), ale odpowiednie warunki zaistniały dopiero w drugiej połowie naszego stulecia. Dydaktyzm, moralizatorstwo tak zwanego idealnego wychowawcy i rozbudowana sfera poznawcza — główne

wyróżniki tego nurtu piśmiennictwa — mieściły się pierwotnie przede wszystkim w literaturze ustnej. Służyły temu celowi, choć często w ograniczonym stopniu, baśnie, podania i legendy zapisywane już przez: Ceynowę, Hilferdinga, Kolberga, Lorentza czy Ramułta. W naszym stuleciu opracowali je literacko m.in.: Heyke, Rabska, Patock, Sędzicki, Fenikowski, Puzdrowski i kilku innych pisarzy.

Przejdźmy z kolei do folkloru dziecięcego oraz literatury ustnej dzieci kaszubskich. Kto wie bowiem czy nie tu właśnie kryją się źródła tego, co decyduje o specyficznych walorach kultury duchowej naszego regionu, co istniało już dawno, a z czego czerpiemy częstokroć zupełnie bezwiednie.

Na istnienie folkloru dziecięcego zwrócono uwagę stosunkowo niedawno. Zjawiskiem tym, w skali ogólnokrajowej, zajął się Jerzy Cieślowski. W swych fundamentalnych studiach, przede wszystkim w książce „Wielka zabawa” uwzględnił badacz walor tekstu w grach dziecięcych. Zajął się wyliczankami (mętowaniem), powiedzeniami pasterskimi, okolicznościowymi rymowanymi, „światem na opak” itp. Badania w tym kierunku kontynuują Dorota Simonides i Bogusław Żurkowski.

Na folklor dziecięcy, w jego odmianie kaszubsko-pomorskiej zwrócili już uwagę pracujący na naszym obszarze etnicznym ludoznawcy XIX-wieczni. Odnajdziemy jego elementy w pracach dr. Nadmorskiego (Józefa Łęgowskiego) — „Kaszuby i Kociewie”, Aleksandra Treichela — „Volkslieder und Volksreime aus Westpreussen”, a także Izidora Gulgowskiego — „Von einem unbekannten Volk in Deutschland” oraz: Franciszka Lorentza, Adama Fischera i Tadeusza Lehr-Splawińskiego „Kaszubi. Kultura duchowa i język”.

Jedną z cech dawnego folkloru dziecięcego na obszarze Kaszub jest wyraźna koegzystencja niemieckich i polskich wpływów kulturowych. Jej istnienie sygnalizują m. in. popularne już w poł. XIX w. tzw. rymowane „pamięciówki” dziecięce, jak ta, którą notuje A. Treichel w wymienionej już pracy:

Ryba — Fisch
Stolik — Tisch
Ławka — Bank
Powróż — Strang
Messer, Gabel
Storch und Schnabel.

Ten sam autor zapisał także tekst rymowany o jednoznacznie polskim charakterze i brzmieniu:

Ecie, pecie, gdzie jedziecie?
Ele, wele na wesele
Endry, wendry, na olendry.

Cenny, choć nie dostrzeżony przez badaczy polskich rejestr tekstów, które należą do tradycyjnego folkloru dawnych generacji dzieci kaszubskich, zawarł w swoim „Skôrbie Kaszëbsko-słowjnskję mówë” Florian Ceynowa. W siódmym numerze tego pisma z 1868 roku autor zamieścił aż dwie „kope szëtópórk”, a wśród nich rymówkę:

Zdechł pjes!
Przeszła wosa
Do psego nosa;
Przeszła sroka
Do psego woka;
Przeszła mucha
Do psego wucha;
Przeszła wróna
Do psego wogona.

Wiele podobnych znajdziemy też we wspomnianej wcześniej pracy Izydora Gulgowskiego. Oto dla przykładu stara odliczanka kaszubska zaczynająca się od słów:

Isak, Isak, gdzie te beł,
Za goreczko wódka pił,
Przepił konia, przepił woz,
Na czym badzesz dupa wios?

lub też:

Kuba Kubie we łbie dłubie,
Co wydłubie to do Kubie,
Co wydrapie to do gapie,
Co wygrzebie to dło siebie.

Autor notuje też bardzo charakterystyczne dla dzieci rymy, będące zawołaniem do przelatujących właśnie ptaków lub owadów (kukułki czy biedronki), jak w przyspiewce „Marineczka, panieneczka, powiedz jakô godzinyeczka”. Ciekawą śpiewaną formę wyliczanek z okolic Pucka podaje w książce „Kaszuby i Kociewie” dr Nadmorski — Józef Łęgowski:

Żórowie, żórowie, chłedzą po smętôrzku,
Zbierają, zbierają po jednym dzecătôszku.
Dzece, dzece mało nas, mało nas,
A te (tu imię) poej do nas, poej do nas.

Jerzy Cieślowski dopatrywał się w tego typu przekładach folkloru dziecięcego reliktyw treści magicznych. Zdaniem badacza, czynność „mętowania” (odliczania), która z czasem zesłała do funkcji rozdawania ról (kaszubskie „kawle”), była praktykowana przez dawnych pasterzy i pomagała w liczeniu bydła czy owiec. Jeszcze wcześniej zaś druidzi wybierali w taki sposób ofiary z ludzi, dziesiątkując za pomocą „losu rachunkowego” jeńców.

Józef Łęgowski zarejestrował sporą ilość powtarzanych przez dzieci kaszubskie zagadek. Z kolei Friedrich Lorentz opisał w „Kaszubi. Kultura ludowa i język” związane m. in. z mętowaniem zabawy, dokładnie relacjonując słynną niegdyś i bardzo popularną grę „w kręga”. Po latach nawiąże do niej w wierszu pt. „Kulanie kręga” Jan Trepczyk w pierwszym adresowanym do dzieci kaszubskich zbioru poetyckim „Ukłódk dlô dzôtłk”:

Kulô nasz Leon swój krag,
Le za nim tak zbiegô prąg
Kulô, kulô le brzęni
Kulô z waji chtêz dali.

Jedynie dziecko posiada pierwotny dar improwizacji i radowania się. Według Rogera Calloisa są to główne wyróżniki tzw. paidii. Zabawa, która w życiu dziecka odgrywa tak znaczącą rolę, istnieje tuż obok wartości mityczno-baśniowych, bliskich jego psychice i wyobraźni. Badacze stwierdzili, że geneza rozmaitych wyliczanek i rymów przewiskowych ma odległy, mitomagiczny rodowód, uznali istotne cechy treściowe folkloru za klucz do sfery idei wartości środowiska dziecięcego. Bogusław Żurkowski wymienia trzy podstawowe wartości (idee) obecne w folklorze dziecka. Są to: mityczność, ludyczność i dydaktyzm.

Na koniec rozważań nad dzieckiem jako przedmiotem i podmiotem kaszubskiej literatury pisanej oraz dzieckiem — twórcą odmiany ustnej folkloru literackiego, pragnę zwrócić uwagę na istnienie jeszcze jednego, niewyczerpanego wprost źródła do dalszych badań. Jest nim przebogaty zbiór „Tekstów pomorskich” Friedricha Lorentza. Tworzą go zapisane wypowiedzi ludzi — w spo-

sób, jak to określił Julian Krzyżanowski w „Słowniku folkloru polskiego”, odpowiadający wszelkim wymaganiom językoznawców — w różnym wieku i z rozmaitych miejscowości Kaszub. Lorentz nie ujawnił nazwisk informatorów, lecz za to skrupulatnie odnotował przy każdym z blisko tysiąca tekstów, wiek, wykształcenie i ewentualnie zawód autora zamieszczonej wypowiedzi. W liczbie tych osób prawie jedna trzecia wszystkich są dzieci w wieku od 10 do 16 lat.

Zbiór owych tekstów powstał w latach 1913 — 1924 i stanowi swoisty dokument kultury duchowej tamtych czasów. Lektura dziecięcych wypowiedzi nasuwa wiele refleksji nie tylko na temat odtwórczych, ale i twórczych umiejętności wiejskiego dziecka kaszubskiego w pierwszym dwudziestolecu naszego wieku. Sporo opowiadanych bajek, baśni i podań to teksty należące do klasyki danego gatunku. Często jednak w zdumienie wprawiają niebywałe zdolności narracyjne, wielka inwencja twórcza oraz wspaniała pamięć opowiadających dzieci. Teksty są różnej objętości. Czasem krótkie, czasem z rozbudowaną fabułą, wielowątkowe. Poza typowymi formami kliszowymi oraz elementami formulicznymi, zdarzają się dość często utwory oryginalne — w znacznym stopniu zrodzone w środowisku dziecięcym czy nawet teksty zupełnie improwizowane.

Istnieje zauważalna różnica między zapisami owej literatury ustnej z obszaru południa i północy Kaszub. O ile pierwsze są obszerniejsze pod względem objętości, te z północy wydają się bardziej oryginalne. Można w nich zaobserwować zjawisko koegzystencji rozmaitych treści kulturowych. Oto dla przykładu, dwunastolatek z Połczyna opowiada Lorentzowi (Niemcowi) lokalną wersję bajki o Jasiu i Małgosi. Opowiada ją w pięknej i czystej kaszubszczyźnie, do momentu, gdy dzieci spotykają w lesie złą czarownicę:

„A te jima so chca jesc, tak oni jedle od ti chalëpczi, ot tego cëkrë. A wti chalëpcze mieszka jedna stôrô jiza, te ona gôda: Knüper, knüper, knauschen, wer knüpert an meinem Hauschen? Tak oni rzekle: Der wint, der wint, das himlische Kind! Tak oni gôdale do trzeci raze”.

Autorka studium zatytułowanego „Baśnie, podania i legendy kaszubskie w zbiorach dla dzieci” Gertruda Skotnicka pisze: „Ale zanim bajki ludowe staną się lekturą dziecięcą, poddane zostają zazwyczaj procesom transformacyjnym, ulegają przekodowaniu z uwzględnieniem odbiorcy dziecięcego (...). Transformacja może polegać na eliminacji elementów niepożądanych z uwagi na odbiorcę, np. sadyzmu, okrucieństwa, frywolności, erotyzmu (...), w jej zakres z reguły wchodzi transformacja gwary na język literacki”. Autorka ma rację pisząc, że w wyniku takich zabiegów powstają teksty o bardzo luźnym związku z folklorem.

W pełni potwierdza to lektura materiałów składających się na „Teksty pomorskie”. Ileż w nim okropności, sadyzmu, jak bezpośredni i naturalny stosunek dzieci do spraw płci, z jakże rozbijającą prostotą dzieci traktują to wszystko, co dorosłym wydaje się frywolne, obsceniczne i w ogóle — skomplikowane.

Porównując teksty sprzed siedemdziesięciu lat ze współczesną literaturą dla młodego odbiorcy, mogliśmy łatwo dojść do wniosku, że ta ostatnia jest bardziej dziecięca, infantylna, delikatna i ugrzeczniejsza niż samo dziecko, które dawniej, jak i współcześnie wytwarza sobie własne jej surogaty, kto wie zresztą czy dla samego dziecka nie ciekawsze od tego, co ma mu do zaproponowania profesjonalny, uzależniony wciąż jeszcze od rozmaitych „cenzorów”, pisarz i pedagog.

PACYFIK DNIA...

Wyjście

Gdańsk — Nowy Port, 27.V.1986, 12.30

Jestem. Jednak jestem na statku. Za chwilę odcumujemy i zacznie się moja sprawa z morzem, jej dalszy, oby dobry, ciąg.

Napisałem to zdanie przed trzema godzinami i nie potrafiłem dodać ani słowa. Zatkąła mnie szczenięca radość, dusiła, aż jak korek z butli wystrzeliłem z kabiny i pogałem po wszystkich pokładach. Ślepiami obwąchiwałem cały statek po ostatni włącz. Zerkalem przy tym, czy nikt nie patrzy, bo gdyby ktoś za mną nadążył wzrokiem, pewnie by pomyślał, że jeszcze łajba nie wypłatała się z portu, a już staremu odbiło. Wreszcie u szczytu, na pokładzie pelengowym, sam na sam z ziejącym kominem, odtańczyłem jakiś murzyński taniec. Mogłem nawet pozwolić sobie na barbarzyńskie wykrzykniki i pohukiwania, bo pokład pelengowy to jedno z najgłośniejszych miejsc na „Kromerze”. Metalowa dżungla warkotów i syczeń oraz wszelkich dźwięków mieszanych skutecznie zagłuszała moje zdziwienie. Potem patrzyłem z burt, z baku, z rufy, a chciałem patrzeć zewsząd naraz. Tymczasem dawno odeszliśmy od nabrzeża Wiślanego i rzeczonym zygakiem, a potem krętą, jakby roztańczoną razem ze mną ścieżką pomiędzy zielonymi i czerwonymi bojami zatoczyliśmy się w Gdańską Zatokę. Statek osiadł miękko i cały jak ja w żarliwym słońcu oddał pilota, wymachującego nam rękami. A potem? Potem zaboląły korzonki i reumatyczny łokieć wprowadził dyskretną korektę do murzyńskich uniesień. Korek pokornie wrócił do butli. Ale i tak — pełno w niej słońca!

Żywe jest polskie wybrzeże. I ma coś z natury Polaków. Zielony las wzdłuż plaży nagle rwie się i rozprasza za horyzontem, a gdy się wydaje, że już tylko pustka — zielen lasu i pól wraca napiętym wzgórzem, jednym, drugim, trzecim, powstaje jakby sama z siebie, bez jakichś karłowatych zapowiedzi. Ale zapada się po chwili i znowu snuje się tylko wątła nić złotego piasku, cicha nadzieja na dalsze wzgórza lub dramatyczne klify.

Bałtyk, 28. V. 7.00

Od czwartej dwadzieścia, z łbem zanurzonym w bulaju jak w kuble wody, próbowałem się dobudzić do wczorajszych uniesień. Ale morze przesuwalo się szarą transmisyjną taśmą i dopiero gruda wschodzącego słońca przepaliła ten jakiś kopalniano-żmudny taśmociąg. Do herbaty naproszyła złotego pyłu. Lecz choć wreszcie zatrzepotało we mnie trochę wczorajszej radości i zacząłem się gimnastykować, po chwili osiadłem znowu. Nawet ulubiony prolog Janowej Ewangelii „Na początku było Słowo” nie przywrócił mnie wczorajszosci.

Tymczasem jakaś wyspa w bulaju. Białe, wysoki brzeg. Bornholm? Jeszcze nie ma kogo zapytać. Wszyscy żyją osobno. Każdy stół w mesie jest wyspą. Marynarskie rodziny trzymają się swoich marynarzy, a ja siedzę przy facecie z tajemniczo zaokrągloną twarzą, jakby obmytą przez czas. Mówimy też okrągło — o niczym. Na moje pytanie, czy jest członkiem załogi, odpowiedział: tak. Lekarz czy inny Sfinks? Dzisiaj przy śniadaniu zadam mu drugie pytanie. Może powie: nie. Słowo do słowa, jak bywa „na początku”...

10.00

Coraz gęściej od statków. Zewsząd zbiegają się brzegi. Czyżby już przedproża Kanału Kilońskiego? Moje trzecie wejście w ten tak kiedyś dla mnie egzotyczny korytarzyk z wylotem na groźne Morze Północne. Tylko tym razem z tej na mapie niebieskiej nitki nie wypłaczemy się na pełne wody, żeby złapać oddech i pójść całą naprzód do Dunkierki, tym razem nitka popłaczę się z nieco grubszą nicią Łaby, która wciągnie nas do Hamburga.

Tymczasem wiatr od zachodu taki, że musiałem z nim stoczyć prawdziwe zapasy, aby dostać się na dziób. A dziób ma nasza łajba tak zadarty, że patrząc z niego w stronę kadłuba ma się wrażenie, iż cała nadbudówka z kapitańskim mostkiem wydobywa się z morskiej głęбини. Ruffy, przestłoniętej tą nadbudówką, z dziobu nie widać, choć i ja, nie wiadomo dlaczego, to stare pudło chętnie unosi czy raczej wypina. Stare pudło, mówię, nie żeby już na początku rejsu obrażać statek, który zresztą od razu przypadł mi do gustu, ale dlatego, że dwadzieścia dwa lata to dla łajby wiek bardziej sędziwy niż mój wiek dla mnie, który nikogo nie myślę kokietować moich lat pięćdziesiątką i piątką.

To powiedziawszy wstaje od stolika, pomalutku, bo te cholerne korzonki zdają się wrastać w fotel. Jeszcze trochę podrepcę po kabinie, poćwiczę wyprosty, żeby do mesy nie włożyć jak garbaty kocur.

Zazdrość, cholerna zazdrość. Ile oni przez te siedem lat od mojego ubiegłego rejsu naprzierzucali nowych mostów nad kanałem. Wspaniałych, napiętych jak struny, których końca nie widać. Mkną po nich czyste i barwne jak muzyczne dźwięki pociągi, samochody, cały rozpedzony dwudziesty wiek. A jeszcze pod mostem, uwieszony na stalówkach, nie dotykając wody „przepływa” od brzegu do brzegu powietrzny prom, kolorowy i jakiś zabawkowo-baśniowy. A i po obu brzegach bań: domki, wille, zakłady pracy — wszystkie nie podobne do sąsiednich kształtem, barwą, architekturą. I ani kącika z osypującym się tynkiem, ani jednej brudnej ściany, choćbyś przez lornetkę wypatrzył sobie nieufne ślepie.

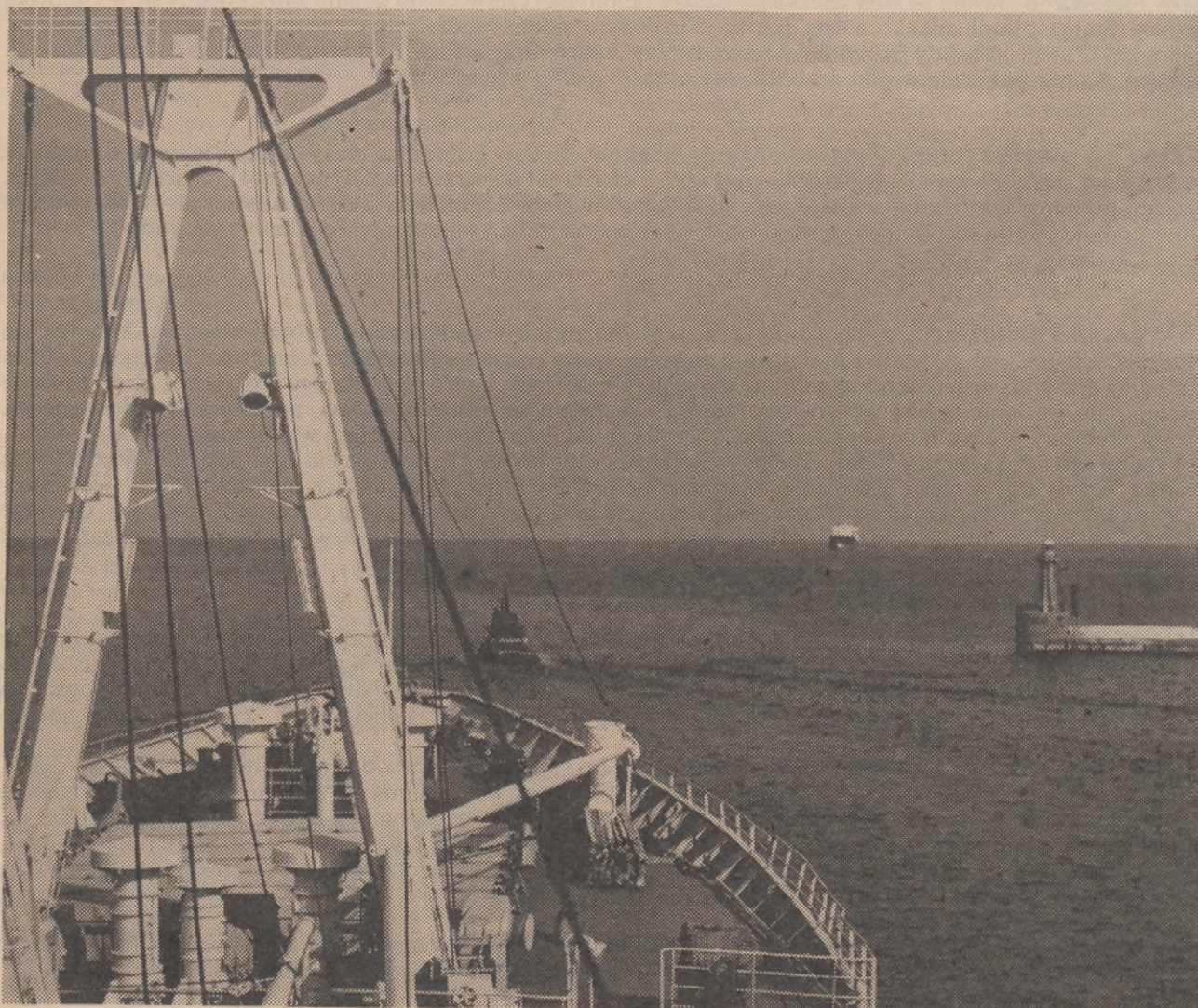
Pomyśleć, ile by u nas trzeba było na coś takiego „wieloletnich planów”, „kosztownych inwestycji”, „centralnych zatwierdzeń”, terminowych poślizgów — zanim wreszcie... zaczęłyby się sypać, pękać i „wymagać przyspieszonych remontów”.

Ciężka sprawa dla Polaka — oglądać zgniły Zachód.

Rzadko nachodzę się tyle po ulicach Trójmiasta, ile w ciągu tych niespełna dwóch dni nałaziłem się po „Kromerze”. Ten stu pięćdziesięciometrowy pływający rogal ma tyle „spacerowego” miejsca wzdłuż burt, na baku i nawet na rufie (bo nadbudówka z mostkiem, nietypowo jak na współczesny statek „przesunięta” została w stronę środka), że każde spenetrowanie jego uliczek, ścieżek i zaułków wymaga dobrej godziny. Wracasz zasłużenie głodny lub gotowy do następnej herbaty.

Hamburg, 29 V, 6.58

Obudziłem się z bulajami wlepionymi w rzeźniczo czerwoną ścianę pływającego doku. „Dock 12” — głoszą wielkie litery. A w domysle: Hamburg. Przywiodła nas tu czarna noc (padał drobny deszcz), więc nic dla siebie nie miałem z Łaby, na którą w domu, zapatrzonej w mapę, ostrzyłem swój poznawczy głód. Nie było Łaby, tylko postrzępiony sen, z którego wyłoniła się ta krwawa ściana, ociekająca jakąś ledwie uchwytną, jakby przedawnioną mżawką. Chyba już przez cały Hamburg będę miał przed oczami ten tępo czerwony ekran, który jak to się dzieje? — rozbudza we mnie okupacyjne sceny... Stop. Nie rozpisywać się w stronę tej „polskiej choroby”. Już to nieraz robiłem, nie najlepiej panując nad długopisem.



Fot. W. Bryduk

PODSKACÔŁ SKRĚ KASZĚBIZNĚ

Zmarł Józef Ceynowa. W maju, krótko po swoich 86 urodzinach poważnie zaniemógł, ale wówczas jeszcze organizm przezwyciężył słabość. Potem znów wypełniał wszystkie dni pracą, odpoczywał mało, aż do 2 grudnia, gdy zachorował na silne zapalenie układu oddechowego. Następnego dnia zmarł.

Pogrzeb Józefa Ceynowy odbył się 7 grudnia 1991 roku w Czersku. W kościele parafialnym mszę świętą celebrował i wzruszającą homilię wygłosił synowiec poety, ks. Adam Ceynowa. Podniosły nastrój nabożeństwa podkreśliły pieśni w wykonaniu Aleksandry Kucharskiej-Szeffler i Jerzego Warczaka, na koniec zaś „Kaszëbsko Królówô”. Kondukt żałobny na cmentarz poprowadziły sztandary Zarządu Głównego ZK-P oraz oddziałów w Pucku i Chojnicach. Wobec bardzo licznie zgromadzonych przy mogile, wśród których był prezes ZK-P Józef Borzyszkowski, piękne słowa pożegnania wygłosili dziekan czerski ks. Henryk Kotlenga, prezes oddziału Zrzeszenia Jerzy Rogański oraz drzech Edmund Kamiński z Wejherowa.

Pisarze poprzez swoją twórczość zdobywają wielu przyjaciół, choć często, jak Ceynowa, nie zdają sobie sprawy z własnej popularności. Kto go znał, wie najlepiej, że w niebywalej skromności nie uczyniłby nic dla popularności. Lecz pisał i publikował od lat przeszło sześćdziesięciu, ubierał w słowa myśli i nastroje, w których czytelnicy odnajdywali własne najgłębsze odczucia. Skojarzeniem obrazów, metaforą, frazą wyrażał to, co w nas pozostawało nie wyrażone. Chyba właśnie umiejętność puentowania i uogólniania jednostkowych refleksji, może bardziej niż kształt artystyczny owych utworów, przyczyniała mu popularności.

Przed dwudziestu laty zwierzył mi się z przyjemnego zaskoczenia. Mianowicie w radiowej audycji usłyszał rzekomo ludową piosenkę „Jô jem rêbòk”, śpiewaną przez Kaszubów helskich. A to przecież był jego, Polczyńskiego Józka wiersz, z ludową melodią. — Jak to możliwe, że tak długo się ten utwór zachował? — dziwił się, nie mając żalu, iż czas wymazał nazwisko autora tekstu. Minęło kilka dalszych lat i piosenka o rybackim rzemiośle znalazła się w prawie obowiązkowym repertuarze każdego kaszubskiego zespołu folklorystycznego. Tantiemy odbierał Ceynowa wyłącznie w postaci osobistej satysfakcji.

Syn rolnika — murarza z Polczyna w pow. puckim, urodzony 30 marca 1905 roku, początkowe nauki pobierał w pruskiej szkole. Po odzyskaniu niepodległości najpierw uczył się w szkołach zawodowych, potem wstąpił do Seminarium Nauczycielskiego w Kościerzynie i ukończył je w 1926 roku. To była bez wątpienia dobra szkoła, która wydała nie tylko legion świetnie przygotowanych nauczycieli szkół powszechnych, ale i spory zastęp intelektualistów kaszubskich; kursowym kolegą Ceynowy był Jan Trepczyk, trzy lata wcześniej opuścił seminarium Aleksander Labuda.

Przez dwa lata Józef Ceynowa w Kuźnicy na Półwyspie Helskim uczył dzieci rybaków, animował życie kulturalne wsi, prowadził młodzieżowy teatrzyk i na całe życie

zachował stamtąd najlepsze wspomnienia. Dla organizowanych zespołów, w Kuźnicy i w następnych miejscach swojej pracy, sam pisał piosenki, wiersze, drobne utwory sceniczne. Myślę, że tak rozumiał swe powołanie, iż nauczyciel powinien być przewodnikiem ludzi, wśród których żyje. I sam winien znajdować ścieżki do serc i umysłów, aby je formować.

Obrał pisarstwo, przez które chciał oddziaływać na znacznie szerszy krąg, niż objąć może szkolny, pracując choćby najenergiczniej w jednej tylko miejscowości. Pobudki twórczości literackiej wyrastają oczywiście z płątaniny predyspozycji psychicznych i intelektualnych, ale w przypadku Józefa Ceynowy niemałą rolę odegrała świadomie wypełniana nauczycielska misja. Bo przede wszystkim czuł się współodpowiedzialny za przekazywanie wchodzącym pokoleniom światła i wskazówek moralnych. Jeszcze u schyłku życia nieraz wyrażał troskę o kształt dusz i stan świadomości regionalnej współczesnych Pomorzan. Mówił, że wydarzenia, które stanowiły wstrząs i silnie odcisnęły się na życiu jego generacji — szczęśliwy powrót do odrodzonej Rzeczypospolitej, wrześnie katastrofa, wojenne i okupacyjne męczeństwo, rozgoryczenie powojenną rzeczywistością — wszystko to zbyt wcześnie oddalało się w historię, traciła walor żywej pamięci. Dlatego wracał w lirykach i utworach epickich do tych zarówno chwalebnych, jak i tragicznych momentów przeszłości. Gdy w rozmowach wspominał okres między wojnami, nie mógł się oprzeć reminiscencji na temat biedy, jaką cierpiała duża część mieszkańców wsi, ale powiadał też, że inny, bardziej serdeczny był wówczas charakter więzi między ludźmi.

Należał do pierwszego pokolenia Kaszubów, które dorastało w odrodzonej Polsce w przeświadczeniu, że wielowiekowe trwanie nad Bałtykiem będzie sprawiedliwie ocenione i zapłacone. Upiływały lata, przybywało rozczarowania. Część młodej inteligencji szukała wówczas ujęcia dla swej goryczy w radykalizacji postaw, Ceynowa idąc za głosem własnej natury nie przystał do

tego nurtu, zwrócił się raczej w stronę filozoficznej i historycznej refleksji. Wierzył w pozytywny skutek pracy organicznej, w wydzwignięcie Kaszub przez solidarne działanie, lecz pod matczynym skrzydłem Polski. Publikował nie w „Zrzesze Kaszëbskij”, lecz w „Klëce”.

Ufał w ostateczne zwycięstwo, gdy zwątpieniu nie poddali się tylko silni. We wrześniu 1939 roku ppor. Józef Ceynowa, dowódca plutonu Obrony Narodowej, wzięty został pod Grudziądem do niewoli i lata okupacji przeżył w obozie jenieckim, w oflagu 2C Woldenberg. Nie był to dlań czas intelektualnie jałowy — kształcił siebie i współtowarzyszy, należał do Koła Pomorzan, przede wszystkim zaś pisał liryki, utwory dramatyczne, opowiadania. Ułamek obozowego dorobku wydrukował na łamach powojennych periodyków i gazet, więcej zostawił w szufladzie; realia nowych czasów okazały się zbyt dalekie od pielęgnowanych w niewoli tęsknot i nadziei.

Po wojnie los zatrzymał Józefa Ceynowę na całe ćwierć wieku w Koronowie. Dziwnym zrządzeniem całe niemal życie upłynęło mu poza Kaszubami, lecz oddalenie ani na chwilę nie osłabiło miłości i przywiązania do kraju młodości. Godna podziwu wierność jest udziałem wielu ludzi, ale Ceynowa nie tylko czerpał ze skarbcza ojczystej kultury, lecz wciąż dokładał doń plody własnych uczuć i zamyśleń. Pozostał Kaszubą, pisarzem z kręgu idei i języka kaszubskiego. Przed wojną żyjąc i pracując w Dąbrowce na Kociewiu, po wojnie w Koronowie na styku Krajny i Kujaw, w ostatnich dwóch dziesięcioleciach w borowiackim Czersku, nigdy nie oderwał się od żywej tkanki kaszubskiego pnia. Chciał tego, był świadom, że tchnienie ducha przyjmuje się otwartym sercem, a maestrię słowa osiąga się przez pracę. Mówił pewnego razu: — Wy na Zaborach macie takie trafne wyrażenia „podskocac”, w sensie — rozniecać ogień i mówicie „datni” na to, co my na północy nazywamy „jędzrny”. — Ciągłe podskakał w sobie ducha umiłowanej swojszczyzny.

Miał dar zżywania się z ludźmi i odkrywania w nich dobra. Tęsknił do moralnego ładu na świecie, trwał w wierze, iż „Dobro zwycięża” — jak zatytułował ostatnią swoją książkę, zbiór legend z Kaszub i Pomorza. We wspomnieniach postacie ludzi, z którymi szedł razem choćby kawałek drogi, ustawiły się w długim szeregu, a i oni nie zapominali o swym towarzyszu i nauczycielu. Wiele lat po opuszczeniu Koronowa odwiedzali go dawni uczniowie i współpracownicy stamtąd, zabierali samochodem na spotkania. Wracał urzeczony serdecznością.

Sprawy ruchu kaszubskiego zajmowały Ceynowę do głębi. Wiedział, co dzieje się w zawsze bliskim mu Pucku, Wejherowie i w Chojnicach, przede wszystkim zaś w Gdańsku. W zrzeszonej społeczności, w jedności działania widział wielką szansę. — My przed wojną nie stworzyliśmy takiej siły — powtarzał nieraz. Bolał, gdy w zrzeszeniu pojawiły się pęknięcia. Autorytetem, wiedzą i zachętą stale wspierał druhow w Czersku.

Radował się gościom. Przerywał pracę w ogródku, jeśli akurat był wiosenny czy letni dzień, albo odkładał łupę i wstawał od biurka, a nieocenionej dobroci i łagodności pani Weronika przynosiła na stół kawę i ciasto domowej roboty. Rozmowa, na przemian po polsku i po kaszubsku, wydłużała się w godziny; tak był spragniony wymiany myśli, wiadomości, poglądów. Śmierć małżonki przed trzema laty odczuł nader boleśnie, ale nie poddał się melancholii. Tylko coraz częściej mówił ze spokojem, że i dla niego bliski jest koniec przejścia na drugą stronę. Lecz wiedział też i ongiś to wyraził, że przywilejem poetów jest zostać wśród żyjących:

Może jesz długo ostane przë Was,
drëszë ò przëjacele,
miłosnicë stron naszëch snożëch...

Edward Breza

LIPIŃSCY I ICH PRZYDOMKI SZLACHECKIE

Na Gochach większość wsi stanowiła własność drobnej szlachty kaszubskiej. Są to Borzyszkowy, Brzeźno Szlacheckie, Glisno, Łąkie, Lipnica i Prądzona. Każda z tych wsi dała podstawę pochodnym nazwiskom szlacheckim. Rodziny z tych wsi pochodzące, a więc odpowiednio: Borzyszkowscy, Brzezińscy, Gliszczynscy, Łąccy, Lipińscy i Prądzińscy, przetrwały do dziś i są (może wyjątek stanowią tu Łąccy) bardzo rozplecione. O licznych gałęziach tych rodzin świadczą także zaświadczone w historii, i dziś używane jeszcze, przydomki szlacheckie. Mówiliśmy już w „Pomeranii” o przydomkach Borzyszkowskich (nr 10/91), Gliszczynskich (nr 11-12/91), Kiedrowskich (1/92), dziś pomówimy o bardzo licznych przydomkach Lipińskich z Lipnicy.

Najpierw jednak zajmijmy się nazwą samej wsi, dziś gminnej w parafii Borzyszkowy. Wieś datowana jest już w okresie ksiąząt pomorskich, mianowicie z roku 1310 pochodzi zapis *Lypeniza*, który odczytamy jednoznacznie *Lipienica*. W okresie krzyżackim nazwa brzmiała tak samo, jednak zapisana została na początku XV w. jako *Lyepnitez*, czyli *Lepnica*, od XVI w. pojawiają się zapisy w liczbie mnogiej typu *Lipienice*, one utrzymały się do okresu międzywojennego, po ostatniej wojnie wieś nazywała się urzędowo *Lipnica*. Wahanie nazwy w ciągu wieków dotyczyły więc obecności lub braku głoski *e* w nazwie, która zanikała pod wpływem akcentu padającego na pierwszą sylabę (tzn. akcentu inicjalnego) oraz formy liczby pojedynczej — *Lip(ie)nica* lub liczby mnogiej — *Lip(ie)nice*. W nazwie tkwi określenie ryby *lipień* o łacińskiej nomenklaturze *Thymallus thymallus*. Do nazwy ryby *lipień* dodany przyrostek — *ica* daje *Lip(ie)nice*. Dodać trzeba, że nazwę *Lipienica* nosi też kolonia pod Pawłowem w parafii Nowa Cerkiew pod Chojnicami oraz wieś *Lipienica* w parafii Świekatowo w b. pow. świeckim. Prof. H. Górniewicz sądził, że każda z tych nazw oznaczała najpierw rzeczki płynące obok wsi, a potem została przeniesiona na wsie leżące nad tymi potokami.

Przymiotnik od nazwy wsi brzmiał *lipiński* i ta postać przymiotnika utrwalona została w nazwisku szlacheckim *Lipiński*, pochodzącym na Pomorzu od szlacheckiej wsi *Lipienica* czy *Lipienice*. Herbarze notują ponadto wiele innych rodzin Lipińskich wywodzących się z innych wsi polskich. W roku 1570 *Lipińscy* nie są wspomniani we wsi, wymieniono szlachciców (*nobiles*), których nazwiska w większości wypadków funkcjonują potem jako przydomki szlacheckie Lipińskich, mianowicie: Paweł Klimek (źródłowo *Klinck*), Paweł Suchy, Jan i Michał Wnukowie,

Adam Grzegorz, Piotr Żak, Tomasz Paszątko (źródłowo *Pasząski*), Stanisław (*Stentzeslaus*) i Grzegorz Krajikowie (źródłowo *Krayk*), Jędrzej i Jakub Karskowsy, Grzegorz i Feliks Jantowie, Paweł Piech (źródłowo *Pech*), Piotr Pupka oraz dwóch Janów Wyszków (źródłowo *Wisck*) — w sumie więc aż 18 właścicieli. Z tych nazwisko do roli przydomków przeszły: Janta, Klimek, Krajik, Paszątko, Piech, Pupka, Suchy, Wnuk i Żak. Inne źródła ujawniły dalsze przydomki: Aubrach, Babka, Bastian, Borosz, Chełm, Chojtała, Depa i Depka, Jadamowicz, Janic i Janicz, Jarek, Jarczyk, Jeż, Karkoszka, Kokosza i Kokoszka, Kospoth, Krzemyk, Pac, Rymon, Szur i Zdan. Spróbujmy je kolejno pokrótce objaśnić.

Aubrach t, pisane też *Abracht*, *Aubrecht*, *Obrach*, *Olbrecht* i podobnie, to wszystko fonetyczne przeróbki germańskiego imienia *Albrecht*. Dodać trzeba, że słowiańskie imię *Wojciech* oddawane było w dokumentach niemieckich i łacińskich przez *Albrecht* lub *Albert*. Przydomek ten potwierdzony został na początku XVII w. u Prądyńskich, pod koniec XVIII w. wspomina omawiający przydomek u Lipińskich W. Kętrzyński.

Babka — to przydomek notowany od XVII w. przede wszystkim u Gostomskich z Gostomia pod Kościerzyną. Heraldycy wymieniają *Babkę* także u Lipińskich herbu Gwiazda. Nazwa pochodzi od wieloznacznego wyrazu *babka*. Dziś nie wiemy do jakiego znaczenia nawiązano, dając komuś przezwisko *Babka*.

Bastian notowany jest głównie u Brzezińskich, wymieniany przez heraldyków także u Lipińskich. Pochodzi od imienia *Bastian*, które jest skrótem pełnego imienia *Sebastian*.

Borosz udokumentowany został u Lipińskich na początku XVII w. Sam przydomek jest genetycznie spieszonym imieniem od pełnego imienia dwuczłonowego *Borzysław*.

Chełm poświadczony został u Lipińskich w połowie XVIII w. przez ks. J. Borka, historyka Pomorza i proboszcza parafii Borzyszkowy. Oprócz Lipińskich przydomek ten znany był też u Podlewskich z Wielkiego Podlesia pod Kościerzyną. Sama nazwa pochodzi od rzeczownika *chełm* w znaczeniu 'pagórek'. W związku ze znaczeniem przydomka warto przywołać nazwiska *Góra* i *Górny*.

Chojtała lub **Kojtała** bądź też **Kajtała** i **Kojtałek** to przydomek poświadczony w XVI w. przede wszystkim u Kiedrowskich z Kiedrowic. Heraldycy wykazują go jednak także u Lipińskich. Nazwa pochodzi od *chojtać*, *chojdać* i *kojdać* 'chuścić się, kołysać się' z przyrostkiem *-ala*, jak *Gwizdała*, *Machala*, *Pękała* od *gwizdać*, *machać* i *pekać*. Wariant *Chojtałek* jest formą pochodną, utworzoną za pomocą przyrostka *-ek*.

Depa i **Depka** udokumentowane zostały przede wszystkim u Prądyńskich od początku XVII w. w księgach miejskich Chojnic, u Lipińskich potwierdza ten przydomek W. Kętrzyński dopiero na początku XIX w. Nazwę można wyjaśnić podwójnie: albo od rzeczownika *dupa*, *dupka*, po kaszubsku *dępa* i *dęпка*, albo od kaszubskiego *dępa* 'zarośla, kępa kwiatów' czy *dęпка* 'mielizna w morzu' i przenośnie 'zołudek', jak zaświadcza w swoim Słowniku kaszubskim (t. I, s. 198) ks. B. Sychta.

Jadamowicz potwierdzony został u Lipińskich na początku XVII w. przez W. Kętrzyńskiego. Jest to forma patronimiczna (odojcowska) od imienia *Adam*, po kaszubsku też *Jadam*, z przyrostkiem *-owicz*. U innych rodzin przydomek ten nie jest notowany.

Janic lub **Janicz** jest bogato udokumentowany u Lipińskich od XVII w. przez księgi miejskie w Chojnicach oraz w XVIII w. przez księgi ławnicze Kościerzyny. Przydomek jest formą patronimiczną (odojcowską), utworzoną za pomocą przyrostka *-ic* lub *-icz* od imienia *Jan*.

Jarek i **Jarczyk** to notowane formy przydomka u Gostkowskich z Gostkowa pod Bytowem już XVI w., u Lipińskich z początku XVII w. Jak łatwo zauważyć, forma *Jarek* jest zdrobnionym imieniem od *Jaroslawa*, a *Jarczyk* to postać patronimiczna (odojcowska) od *Jarek*, utworzona za pomocą sufiksu *-ik*.

Jeż. W roku 1682 występuje w Prądzonie Maciej *Jeż* Lipiński, a wcześniej *Jeż* notowany jest u Prądyńskich. Nazwa przydomka wzięła się oczywiście od wyrazu *jeż*. Dziś zresztą nazwisko *Jeż* jest częste w całej Polsce. Przezwisko mogło powstać z uczesania człowieka.

Janta, pisane też **Janti** i **Jent**, występuje w kilku wsiach Bytowskiego już XVI w. U Lipińskich przydomek ten został poświadczony w pierwszej połowie XVIII w. Genetycznie jest to imiesłów *jety*, od czasownika *jać*, wymawiany po kaszubsku *janti*; wygłosowe *-i* Niemcy oddali przez *-e*, jak *Schade* z *Szady*, *Grube* z *Gruby*. Postać *Jante* spolszczyliśmy przez wymianę końcowego *-e* na *-a* i tak powstała forma *Janta*.

Karkoszka jest przydomkiem udokumentowanym tylko u Lipińskich na początku XVII w. w księgach miejskich Chojnic. Jest to przezwisko od gwarowego rzeczownika *karkoszka* 'kij, gałązka'.

Klimek. Zapis z Lipnicy z roku 1570 *Klinck* oddaje na pewno nazwisko w postaci północnopolskiej *Klimk*, tj. ogólnopolskie *Klimek*. W. Kętrzyński notuje w roku 1687 Małgorzatę *Klimkównę* Lipińską. *Klimek* to zdrobniałe imię od *Klemens*.

Kokosza i **Kokoszka** notowane jest jako nazwisko pod koniec XVI w. w Nadolu w Puckiem, u Lipińskich pod koniec XVII w. Dziś nazwisko *Kokosza* znane jest jeszcze na północy Kaszub. Jest to przezwisko od wyrazu *kokosza* i *kokoszka* 'kura, kwoka'.

Kospo t, pisane też *Kospu* t i *Kospoth*, notowane od XVI w. jako nazwisko, u Lipińskich poświadczone zostało w XVIII w. jako przydomek. Nazwa pochodzi od wsi *Kosobudy*, zapisywanej po niemiecku *Kospoth*. Przydomek powstał z określeń łacińskich czy niemieckich typu *Joannes de Kospoth*, potem, po odrzuceniu przyimka łacińskiego *de* czy niemieckiego *von*, *Kospoth*.

Krajik, poświadczony jest w Lipnicy w roku 1570 i w połowie XVIII w. przez ks. J. Borka. Również w roku 1570 *Kraikowie* występują w Ostrowitem i pochodzący z tej wsi Ostrowscy też używają tego przydomka. Wywodzi się on ze staropolskiego imienia dwuczłonowego *Dzierżykraj*, jako zdrobnienie.

K r z e m y k poświadczony został tylko u Lipińskich w połowie XVIII w. przez ks. Borka. Różnicował on według Borka Pupków-Lipińskich. Pochodzi od rzeczownika *krzemik*, podobnie jak nazwiska od określeń metali, skał itd., np. *Węgiel*, *Wąglik*, *Stal* i inne.

P a s z ą t k a, pisany też *Pażątka*, notowany jest w 1570 roku w Lipnicy i potwierdzany przez różne źródła w następnych wiekach w Lipnicy i okolicznych wsiach. Początek bierze jako zdrobnienie od imienia *Paweł*. Imieniu temu zawdzięczają swój początek dawniej imiona, dziś nazwiska *Pach*, *Pachnia*, *Pasz*, *Paszek* i właśnie *Paszątka* oraz inne. Nazwa *Paszątka* stała się niezrozumiała, dlatego odniesiono ją do kaszubskiego rzeczownika *pażąc* o znaczeniu 'murawa, darń' i pisano *Pażątka*, a niekiedy *Parządka*, na pewno przez skojarzenie z rzeczownikiem *porząddek*.

P i e c h i P i o c h, potem pisano też *Pich* i *Pych*. W Lipnicy w roku 1570 mieszkał *Paweł Pech*, co należy czytać *Piech*, bo miękkości spółgłosek często nie zaznaczano. Później w XVII w. spotykamy *Pichów-Lipińskich*, a więc polski zapis *Piech* odczytano na sposób niemiecki *Pich*. Na styku języków polskiego, kaszubskiego i niemieckiego zaczęto pisać przydomek też *Pych*. Oryginalną, etymologiczną postacią jest oczywiście *Piech*. Jest to spieszczanie od imienia *Piotr*. Do dziś na Pomorzu i w całej Polsce mamy nazwiska *Piech* i *Pioch*. Zdrobnienie *Piech* musiało być znane na Pomorzu wcześniej, skoro na początku XIV w. dało podstawę nazwie wsi *Piechowice*, gniazdu *Piechowskich*.

P u p k a notowany jest w Lipnicy już w roku 1570, potem bez przerwy jako *Pupka-Lipiński*. Współcześnie pojawiają się rodziny pisane *Pypka-Lipiński*, a to wskutek kaszubskiej wymowy *Pupka* jako *Püpkä*, co zapisano przez *y*. Historycznie notowane na Pomorzu także nazwisko *Pupa*, a do dziś w wielu wsiach można spotkać przezwisko *Pupa*. Przewisko, nazwisko i przydomek pochodzą od kaszubskiego wyrazu *pupa* w znaczeniu 'niemowlę, małe dziecko'. Jest to oczywiście wyraz zapożyczony z niemieckiego *Puppe* 'lalka'.

R o m a n, przydomek udokumentowany u Lipińskich bogato w XVIII w., głównie w księdze mesznego parafii Borzyszkowy, ptem pisany też *Ruman*. Jest to niewątpliwie genetycznie imię *Roman*, które wskutek kaszubskiej wymowy *Róman*, zapisane było *Ruman*.

R y m o n, ta postać przydomka została utrwalona u Lipińskich w XVIII w. w księdze mesznego parafii Borzyszkowy oraz u ks. J. Borka. U Gołębiewskich z Gołębiewa w pow. gdańskim notowany był *Reinmann*. Forma ta była polszczone i wymawiana jako *Ryman* lub *Remon*. Tu może należeć wariant *Rymon* znany u Lipińskich. *Reinmann* to 'Nadreńczyk', na Pomorzu mamy kilka nazwisk będących nazwami mieszkańców różnych ziem (landów) niemieckich jak *Bawor*, dziś często *Bayer* i *Beger*, *Bejger* czyli 'Bawarczyk', *Westfal* i *Westphal*, czyli 'Westfalczyk', *Döring*, pisany też już z polską *Dering*, czyli 'Turyńczyk', tj. mieszkaniec Turynii i inne.

S u c h y. Pamiętamy, że w roku 1570 mieszkał w Lipnicy *Paweł Suchy*, już na początku XVII w. potwierdzony został *Suchy-Lipiński* w Lipnicy i tak aż po dzień dzisiejszy. Nadtó *Suchy* funkcjonował jako przydomek u Grabowskich z Grabowa w Człuchowskim. Przymiotnik *suchy* w przydomku trzeba rozumieć jako

'chudy', do dziś *suszyć* znaczy też 'pościć', a o człowieku wychudzonym mówimy *wyschnięty*.

S z u r. Pod koniec XVII w. mieszkał w Lipnicy *Wojciech Szur-Lipiński* i odtąd *Szurowie-Lipińscy* są bogato dokumentowani w Lipnicy, a nazwiska *Szur*, *Szurek* zmienzone *Schurke* i wtórnie spolszczone *Szurka*, poświadczone zostały w różnych wsiach pomorskich od XVII w. Jest to wyraźne przewisko, albowiem w gwarach pomorskich, w tym i w kaszubszczyźnie *szur* to 'smarkacz' i oczywiście 'szczur'.

W n u k. Było wiele rodzin *Wnuków* poświadczonych w Bytowskim: *Ciemno*, *Róg*, *Trzebiatkowa*, *Czarna Dąbrówka* i w Chojnickim (poza Lipnicą też w Czapiewicach). Pamiętamy, że w roku 1570 w Lipnicy mieszkało dwóch *Wnuków*, potem ta nazwa osobowa stała się przydomkiem Lipińskich, Czapiewskich, Dąbrowskich, Ciemieńskich i Trzebiatowskich. Nazwa poszła oczywiście od rzeczownika *wnuk*.

Z a n. Poświadczony został i wymieniany bywa przez heraldyków tylko u Lipińskich. Jest to skrót imienia *Aleksander*, jak to swego czasu szerzej uzasadniałem w „Pomeranii” (1983. nr 11, s. 45).

Ż a k. W 1570 roku w Lipnicy mieszkał i ziemię posiadał *Piotr Żak*. W XVIII w. *Żaków-Lipińskich* potwierdza księga mesznego z Borzyszków i ks. J. Bork. Jest to jedynie przydomek Lipińskich, u innych rodzin nie wystąpił. Pochodzi od rzeczownika *żak* w znaczeniu 'student, uczeń' lub homonimicznego rzeczownika *żak* w znaczeniu 'sieć zastawna na węgorze'.

Lipińscy, podobnie jak inne rodziny drobnoszlacheckie z Gochów, mieli przydomki, które tylko im służyły, nie były znane u innych rodzin, jak: *Jadamowicz*, *Klimek*, *Roman*, *Szur*, *Zan* i *Żak*. Patrząc na źródła tych przydomków, dostrzec można: 1) imiona pełne i zdrobnione bądź spieszczone: *Albrecht*, *Bastian*, *Borosz*, *Jarek* i *Jarczyk*, *Klimek*, *Krajik*, *Paszątka*, *Piech* lub *Pioch*, *Roman*, *Zan*; tu wymienić też można formy patronimiczne: *Jadamowicz*, *Janic* lub *Janicz*; 2) przezwiska: *Babka*, *Chojtala* lub *Kojtala*, *Jeż*, *Janta*, *Kokosza* lub *Kokoszka*, *Pupka*, *Suchy*, *Szur*, *Wnuk* i *Żak*; 3) miejsce zamieszkania: *Chelm*, *Kospoth* i *Rymon*. Dwuznaczną nazwą jest *Depa* lub *Depka*. ■



Recenzje

SWARZEWO CZEKA NA MONOGRAFIĘ

Ks. Stanisław Majkowski, *Sanktuarium Maryjne Królowej Polskiego Morza w Swarzewie*. „Graf” 1991.

Recenzja Józefa Borzyszkowskiego

Dzieje wsi, parafii i sanktuarium Matki Bożej w Swarzewie bez wątpienia godne są osobnej monografii historycznej. Można by w niej zamieścić również interesujące studia socjologa i etnografa. Swarzewo należy bowiem do najbardziej znanych wsi na Kaszubach i Pomorzu, rozślawionych w legendzie i literaturze. Dzięki Bernardowi Chrzanowskiemu i Augustynowi Neclowi, autorom przewodników, publikacji o historii sztuki i mariologów sława tej wsi i cudownej figury Matki Bożej dawno przekroczyła granice kraju pomorskiego i Polski.

Swarzewo, obok Pucka jest najważniejszą parafią w dziejach Kaszubów nadmorskich, do której przez wieki należały wsie Półwyspu Helskiego. Stąd w swarzewskim archiwum parafialnym znaleźć można materiały dotyczące zarówno Jastarni jak i samego Helu. Ciekawe i tragiczne były dzieje starych swarzewskich rodów, rolników i rybaków, których nie brak w tej najbardziej chyba reprezentatywnej dla „kraju” w świadomości Helan wsi. Godnych jest przypomnienia wiele faktów i ludzi z przeszłości Swarzewa, interesujące związki z Łebczem czy Strzelmem. Jednak wszystko przysła-

nia znaczenie niewielkiej figury Matki Bożej, za przyczyną której pojawiła się i rosła sława Swarzewa jako cudownego miejsca. Zanim będziemy mogli wziąć do ręki wymarzoną monografię wsi, nasze biblioteczki wzbogacić możemy książeczkami prezentującymi wyłącznie dzieje swarzewskiego sanktuarium.

Ukazała się właśnie następna, bardzo starannie wydana, broszurka pt. „Sanktuarium Maryjne Królowej Polskiego Morza w Swarzewie”, której autorem jest ks. Stanisław Majkowski. Zdobią ją liczne, kolorowe fotografie Zdzisława Błażejczyka.

Broszurka, poza pięknymi fotografiami, zawiera: lakoniczne informacje o Swarzewie i Kościele, króciutkie opinie dziejów sanktuarium z uwypukleniem faktu koronacji w 1936 roku, opis cudownej figury Matki Bożej, daty odpustów i najważniejszych uroczystości religijnych, tekst: „Pieśni o cudownej Matce Bożej Swarzewskiej” (ani słowa o jej autorstwie) oraz życiorys „Śługi Bożego ks. biskupa Konstantyna Dominika” wraz z modlitwą o jego beatyfikację.

Dobrze się stało, że ks. Majkowski, kiedyś w Seminarium Duchownym w Pielinie „król” kaszubologów, czyli prezes Klubu Studentów Kaszubów, dziś kustosz sanktuarium swarzewskiego, napisał tę książkę i uzyskał dla niej sponsora w postaci właściciela wydawnictwa „Graf”. Bardzo piękna to publikacja i cenna pamiątka dla i ze Swarzewa. Szkoda jedynie, że zabrakło w niej tego, co dla większości pielgrzymów swarzewskich i turystów najcenniejsze — swojszczyzny, kaszubszczyzny. Można było sięgnąć choćby do kaszubskiej poezji bądź też przywołać słowa Ojca Świętego Jana Pawła II, wygłoszone na spotkaniu z ludźmi morza w 1987 roku w Gdyni, a skierowane do Kaszubów zgromadzonych przed figurą Matki Bożej Swarzewskiej. Mam nadzieję, że w kolejnym wydaniu książki, radującej oczy kolorowymi fotografiami znanych i bliskich nam miejsc, portretem ks. biskupa Konstantyna, ów genius loci, duch kaszubskiego trwania na straży morza i rodzimych wartości da o sobie silniej znać. Sądję, że warto też w niej zadbać o pierwotną tytulaturę Matki Bożej Swarzewskiej jako Królowej Polskiego Morza i Patronki Kaszubskich Rybaków. Bo ktoś powinien mieć o to większe staranie jak nie my, Kaszubi.

Na koniec prezentacji tej, chyba pierwszej, książeczki poświęconej wyłącznie Swarzewu można powiedzieć, iż jest ona wspaniałą zachętą dla następnych autorów. Żywa tradycja kaszubska rodzin swarzewskich, bardzo bogate archiwalia, liczne źródła i opracowania, czekają na pełniejsze wykorzystanie.

SZCZĘŚLIWA LUBAWA

Ks. Zygmunt Gutowski, *Matka Boska Lipska patronka Ziemi Lubawskiej*. Lubawa 1985. Ks. Mieczysław Rozmarynowicz, *Sanktuarium Matki Bożej Lipskiej w Lubawie na Pomorzu*. Oficyna Wydawnicza Oaza, Lubawa 1991.

Recenzja Józefa Borzyszkowskiego

Ziemia lubawska stanowi jedną z najciekawszych krain diecezji chełmińskiej i Pomorza Nadwiślańskiego. Niewiele, poza językiem różni się od Kaszub życiem codziennym i kulturą duchową jej mieszkańców. Stąd też być może łatwość aklimatyzacji księży Kaszubów w okolicach Lubawy i odwrotnie — Lubawiaków na Kaszubach. Wszyscy oni spotykają się na dorocznych odpustach w Lipach, w jednym z dwóch spośród dziesięciu najstarszych sanktuariów Pomorza. Lipy, należące do parafii lubawskiej, niewiele ustępują słynnemu kiedyś, także poza Pomorzem, sanktuarium w Łakach Bratniańskich. Dziś M.B. Łąkowska króluje w Nowym Mieście Lubawskim zaś Matka Boża Lipska na co dzień w lubawskiej farze. Jedynie dwa razy w roku na dni odpustowe jej figurka przenoszona jest w uroczystej procesji do kościoła w Lipach.

O sanktuariach ziemi lubawskiej pisano już wielokrotnie. Samym Lipom poświęcono po II wojnie światowej dwie książeczki. Ich autorem jest zakochany w swojej rodzinnej ziemi lubawskiej ks. Zygmunt Gutowski, dziś emeryt zamieszkały w Hawie, nadal aktywny twórca. Jego pierwsza broszura pt. „Cudowny obraz Matki Boskiej Lipskiej” ukazała się w Lubawie w 1947 roku. Druga — „Matka Boska Lipska Patronka Ziemi Lubawskiej” w 1985 roku, także w Lubawie. Tę ostatnią autor opatrzył na stronie tytułowej następującym mottem: „Szczęśliwaś jest, Lubawo, iż niebios Dziewica Ulubiła to miejsce, cna Oblubienica gdzie wszystkim dla nagrody świadczy łask swych wiele i gdzie strapieni w troskach odnoszą wesele”.

W na pozór skromnych broszurach ks. Zygmunt Gutowski zawarł wiele informacji historycznych i natury religijnej. Zaczynając od prezentacji kultu Matki Boskiej Lipskiej, ukazał kolejno położenie wsi Lipy, pierwszych mieszkańców ziemi lubawskiej — Prusów, ich apostoła biskupa Christiana, losy krainy pod panowaniem krzyżackim, narodziny kultu i legendę o cudownym objawieniu, figurkę Matki

Bożej i jej kaplicę, koronację figury, znaczenie sanktuarium w dziejach regionu i Pomorza, a także opisał uroczystości odpustowe. W zakończeniu książeczki napisał m.in.: „Kult Matki Boskiej Lipskiej to wielki spadek, który otrzymaliśmy od naszych przodków wraz z ziemią i mową ojczystą. Wzbogacą nas, ale też zobowiązuje. (...) Pomaga nam, ale też wymaga. Od ludzi odmawiających różaniec (M.B.) oczekuje uczciwości, pracowitości, trzeźwości, prawdomówności i czystości, czyli życia opartego na Ewangelii”. Integralną częścią broszury ks. Zygmunta Gutowskiego są modlitwy przygodne i Litanie do M.B. Lipskiej.

Dobrze się stało, że obecny kustosz lubawskiego sanktuarium ks. Mieczysław Rozmarynowicz opracował, bazując na pracach ks. Zygmunta Gutowskiego i wydał kolejną broszurę pt. „Sanktuarium Matki Bożej Lipskiej w Lubawie na Pomorzu”. Książeczka ukazała się w oficynie wydawniczej Oaza, związanej zapewne z Lubawą, która jest jednym z bardziej znanych centrów ruchu oazowego w diecezji chełmińskiej. Broszura ta dedykowana jest „Biskupowi chełmińskiemu Marianowi Przykuckiemu w 10-tą rocznicę przewodzenia Ludowi Bożemu w pielgrzymce wiary”. Opracowanie graficzne jest dziełem Piotra Piórki. Szczególnie znaczącym fragmentem oprawy plastycznej, pomijając barwną okładkę, jest plan — mapka ukazująca położenie Lubawy w pobliżu przecięcia ważnych szlaków łączących Toruń z Ostródą i Olsztynem, Malbork z Działdowem i Mławą, Warszawę z Gdańskiem, Bydgoszcz i Grudziądz z Iławą. Publikacja ks. Mieczysława Rozmarynowicza, poza przywołaniem informacji historycznych zebranych przez ks. Zygmunta Gutowskiego, podanych w bardziej współczesnej postaci, zawiera nowe fragmenty, a wśród nich rozdziałik związany z przypisaniem M.B. Lipskiej patronatu nad przyrodą. (Nie znalazłem jednak żadnej informacji dotyczącej jej oficjalnego niejako tytułu — Patronki Rolników Ziemi Lubawskiej). Integralną częścią tekstu są modlitwy i pieśni odpustowe mszy świętej. Prezentowana książeczka ukazała się na długo przed uroczystością odpustową w 1991 roku, w czasie której uczczono jubileusz 10-lecia posługiwanie ks. biskupa Mariana Przykuckiego w diecezji chełmińskiej.

Wygłoszony wówczas przez ks. Janusza Pasierbę referat dotyczący dziejów Lubawy i jej roli w historii diecezji chełmińskiej — ongiś siedziby biskupiej — stanowi interesujący przyczynek do kolejnej publikacji poświęconej temu miastu i sanktuarium. Mnożące się w ostatnich dwóch latach wydawnictwa prasowe i podobne do tu zaprezentowanych, wzbogacają kulturę duchową Pomorza.

Można powiedzieć, że Lipy dorównują pod względem żywotności kultu maryjnego sile oddziaływania sanktuarium Matki Bożej Królowej Pomorza w Piasecznie. Godny to przykład powszechniejszego naśladowania także w parafiach, które nie szczycą się sanktuariami. Drukowane dziełka, uroczystości podobne tej zorganizowanej przez ks. M. Rozmarynowicza mają jeszcze jeden, bardzo ważny aspekt — społeczny. Swoją treścią pogłębiają świadomość wspólnoty pomorskiej mieszkańców diecezji chełmińskiej, odpowiedzialności za Kościół oraz za małą pomorską ojczyznę i Rzeczpospolitą.

KŁĘKA

ROCZNICA ŻUKOWSKIEGO PARTU

W Święto Trzech Króli 6 stycznia odbyły się uroczystości 35-lecia powstania żukowskiego oddziału ZK-P. Oddział w Żukowie powstał 7.12.1956 r. jako pierwsze koło terenowe Zrzeszenia Kaszubskiego, pięć dni po zjeździe założycielskim Zrzeszenia (2.12.1956 r.).

Uroczystość rozpoczęła się mszą św., częściowo w języku kaszubskim, którą koncelebrowali ks. prałat Franciszek Grucza i ks. prałat Józef Bigus. Księża, jak przystało na doniosłą uroczystość, odprawili mszę w szatach liturgicznych wyhaftowanych przez Franciszkę Majkowską i żukowskie hafciarki Zofię i Jadwigę Ptachówny. Ornaty te stanowią cenne zbiory Izby Haftu Kaszubskiego w Żukowie. Historię oddziału, którego założycielem i pierwszym prezesem był Wasta Karol Kreft, przedstawił w języku kaszubskim, obecny prezes Kazimierz Bańczyk (ks. prałat F. Grucza był jednym z założycieli Zrzeszenia Kaszubskiego).

Po mszy odbył się w kościele koncert pastorałek kaszubskich w wykonaniu dziecięcego zespołu „Pod kręszką” z Przdokowa, którym kieruje muzyk i kompozytor Jerzy Stachurski — szkółny z Wilanowa.

Drużyna uroczystości — oplatek miał miejsce w sali kaszubskiej restauracji „Gryf”. Na uroczystość przybyły władze gminy, działacze Zrzeszenia, ludzie starsi i samotni. Ksiądz prałat Stanisław Gackowski złożył wszystkim życzenia i połamał się oplatkiem. Następnie zebrani wysłuchali wspomnień działaczy Zrzeszenia oraz recytacji dzieci z Parafialnej Szkoły Podstawowej w Żukowie pod kierownictwem Idy Czaji. Później śpiewano wspólnie kolędy kaszubskie i polskie, przy akompaniamencie Edmunda Lewańczyka z zespołu „Bazuny”.

Współorganizatorem oplatka był Ośrodek Pomocy Społecznej przy Urzędzie Gminy w Żukowie, który przygotował słodczyce i owoce, a drężne Zrzeszenia kuchni. Żukowskim piekarzom dziękujemy za wielki bochen chleba na Ofiarowanie Pańskie podczas mszy św., a gospodarzom „Gryfa” za dobrą obsługę i smaczne kuchy.

Przed uroczystościami ks. Grucza, Antoni Grzędzicki byli u Karola Krefta, aby osobiście zaprosić go na spotkanie. Wasta Kreft ucieszył się z wizyty, ale niestety, choroba nie pozwoliła mu na

spotkanie z nami. Zapewnił nas, że jest myśłami z nami.

Kazimierz Bańczyk

KONKURS FOTOGRAFICZNY DLA KAJAKARZY I ŻEGLARZY „NA SZLAKU SPŁYWU”

Organizatorem konkursu jest Muzeum Wisły i Towarzystwo Miłośników Wisły w Tczewie, tematem: żegluga, rybołówstwo, flisactwo, budownictwo, rzemiosło, twórczość ludowa i folklor, przyroda, krajobraz i ochrona dziedzictwa kulturalnego oraz turystyka wodna. Zdjęcia, w dowolnej ilości i formacie, a także przezrocza należy nadesłać do 10 listopada 1992 r. pod adres Muzeum Wisły, 30 Stycznia 4, 83-110 Tczew (tel. 31-07-05). Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w grudniu 1992 r. Przewidziane są cenne nagrody i wyróżnienia. Zestawy zdjęć mogą być eksponowane na wystawie „Dzieje kajakarstwa polskiego” w Muzeum Wisły.

GRZEGORZ HAMADA DZIAŁACZ RUCHU ŚPIEWACZEGO

Grzegorz Hamada urodził się 20 stycznia 1889 r. we wsi Nehrybka koło Przemyśla. W Jaśle ukończył gimnazjum humanistyczne, w Krakowie studia prawnicze. W 1920 r. przybył do Gdańska, delegowany do pracy w Gdańskiej Dyrekcji Kolejowej jako dyspozytor transportu kolejowego w porcie Gdyni. Później został kierownikiem regulacji eksportu i importu w portach Gdańska i Gdyni. W 1933 r. przeniesiony został do Gdyni, a następnie do Radomia i Krakowa. Okupację przeżył w Krakowie. W 1946 r. ponownie przybył do Gdańska. Rozpoczął pracę na stanowisku inspektora portów w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie. W 1958 r. przeszedł na emeryturę.

Zaczął śpiewać jeszcze w gimnazjalnym chórze szkolnym, następnie śpiewał w chórach w Krakowie, Niegłowicach, Rymanowie i Tarnowie. Po przybyciu do Gdańska G. Hamada śpiewał i działał w chórze męskim „Moniuszko”, od jego założenia w 1920 r. Równocześnie działał w amatorskim ruchu teatralnym. Był prezesem Koła Miłośników Sceny, członkiem Gminy Polskiej, Polskiej Macierzy Szkolnej, Klubu Sportowego i Towarzystwa „Jedność”. W 1921 r. został prezesem chóru „Moniuszko”. Pełnił tę funkcję do 1933 r. Właśnie pod jego kierownictwem chór rozwinął ożywiającą działalność, niejako na przekór trudnościom na jakie napotymano w Wolnym Mieście Gdańsku. Chór „Moniuszko” koncertował w Kwidzynie, Sztumie, Olsztynie, oklaskiwano go w Tczewie, Bydgoszczy, Toruniu i Poznaniu, słuchano

w Kościerzynie, Pucku i Wejherowie. W latach 1936-1939 G. Hamada jest członkiem kolejowych chórów w Radomiu i Krakowie. W 1939 r. zakłada kolejny chór „Bałtyk” w Gdyni i zostaje jego prezesem. Udziela się w Kolejowej orkiestrze Dętej w Gdyni.

W 1946 r. po powrocie do Gdańska przystąpił do reaktywowania chóru „Moniuszko”. W 1947 r. był jednym z inicjatorów i organizatorów Gdańskiego Okręgu Śpiewaczego, w roku następnym Gdańskiego Związku Śpiewaczego gdzie przez pierwsze sześć lat pełnił funkcję wiceprezesa, a w latach 1954-1968 prezesa związku. Czynny w pracach Rady Naczelnej Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych. Honorowy prezes Związku Gdańskiego i Chóru „Moniuszko”. Współdziałał ze Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim.

W 1968 r. w czasie Festiwalu Pieśni o Morzu w Wejherowie obchodził uroczyste jubileusz 60-lecia pracy w amatorskim ruchu artystycznym.

Zmarł 15 czerwca 1987 r. Spoczął w alei Zasłużonych na cmentarzu w Gdańsku-Łostowicach.

Jerzy Kiedrowski

KONKURS LITERACKI IM. M. STRYJEWSKIEGO ROZSTRZYGNIĘTY

29 listopada ub. r. jury w składzie: Stanisław Misakowski (przewodniczący), Roman Pryll i Zbigniew Zielenka nagrodziło prace nadesłane na konkurs. W dziedzinie poezji I nagrodą, w wysokości 800 000 zł, wyróżniono wiersze Leszka Wójcika z Krakowa, II nagrodą, w wysokości 600 000 zł, Piotra Rakowskiego z Rybnika, III nagrodę, w wysokości 400 000 zł, przyznano Jerzemu Fryckowskiemu z Dębicy Kaszubskiej. Wyróżnienie, w wysokości 300 000 zł, otrzymał Kazimierz Furman z Santoka, woj. gorzowskie. Nagrodę specjalną Stowarzyszenia PAX za szczególne wartości chrześcijańskie jury przyznało zestawowi wierszy Janusza Kozłowskiego z Puław. W dziedzinie prozy przyznano 4 równorzędne wyróżnienia, w wysokości 500 000 zł każde, Radosławowi Rzeszotkowi z Torunia, Jerzemu Sikorze z Lublina, Wacławowi Pomorskiemu z Bytowa i Augustynowi Baranowi z Izdebek, woj. krosińskie. Ponadto jury przyznało nagrodę specjalną Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego Wacławowi Pomorskiemu oraz nagrodę specjalną przewodniczącego Rady Miejskiej w Łęborku Stefanowi Fikusowi.

Organizatorami konkursu byli: Oddział Miejski Stowarzyszenia PAX, Miejska Biblioteka Publiczna oraz Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Łęborku.

Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 9 stycznia w auli Państwowej Szkoły Muzycznej w Łęborku.

St. Fikus

NAGRODY ARTYSTYCZNE GDAŃSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ SZTUKI

Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki przyznało nagrody artystyczne za rok 1991. Laureatami zostali: w dziedzinie poezji Edmund Puzdrowski za tom „Klisze i ziarna”, w dziedzinie prozy Jerzy Limon za powieść „Kaszubska madonna” i Stefan Chwin za książkę „Krótka historia pewnego żartu. (Sceny z Europy Środkowej)”. W dziedzinie plastyki wyróżniono Edwarda Roguszcza za wybitne osiągnięcia w ceramice artystycznej. W dziedzinie teatru Halinę Winiarską za całokształt twórczości, ze szczególnym wyróżnieniem roli Matki w „Dialogach karmelitanek”, Kubę Zaklukiewiczza za rolę Księdza Robaka w spektaklu „Pana Tadeusza” w Teatrze Miejskim w Gdyni oraz Wojciecha Misuro za kreowanie nowych form w Teatrze Ekspresji. W dziedzinie muzyki nagrodzono Jana Łukaszeńskiego za twórcze osiągnięcia chóru „Schola Cantoris Gedanensis”, a twórczości telewizyjnej Mariana Ligezę za realizacje telewizyjne w Ośrodku Gdańskim.

KLUB „POMORANIA”

W kwietniu 1992 r. będzie obchodził 30-lecie swego istnienia. Założony został przez znanego ideologa Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego Lecha Bądkowskiego. Aktualnie Klub Studencki „Pomorania” zrzesza około 30 studentów gdańskich uczelni wyższych. Generalnym celem działalności klubu jest propagowanie i pielęgnowanie kultury pomorskiej ze szczególnym uwzględnieniem języka kaszubskiego. Klub ma swoje siedziby w biurze ZK-P przy ul. Szewskiej w Gdańsku i w chęczy w Łączyńskiej Hucie, gdzie spotykamy się na andrzejki, wigilię poprzedzoną mszą świętą w Wygodzie, na sylwestra, gdzie organizujemy gwiazdkę dla dzieci z okolicznych wsi, latem zaś obóz adaptacyjny dla studentów I roku oraz dożynki. Latem także spotykamy się na tzw. wanogach — wędrówkach po Kaszubach. Koronną imprezą klubu jest przyznawanie Medalu Stolema. Tym najwyższym wyróżnieniem obdarzamy ludzi szczerzących się wybitnymi osiągnięciami na polu kultury Pomorza. Klub jest także współorganizatorem „Konkursu Wiedzy o Pomorzu” (finał konkursu w tym roku akademickim prawdopodobnie odbędzie się w Kościerzynie), w którym biorą udział uczniowie szkół ponadpodstawowych.

18 listopada ub. r. odbyło się zebranie wyborcze klubu. Nowym prezesem został Eugeniusz Pryczkowski, student IV roku PG. Zarząd klubu ukonstytuował

się w składzie: Artur Jabłoński, wiceprezes (III rok UG); Beata Pobłocka, sekretarz (I rok UG); Hieronim Kucharzski, skarbnik (V rok UG); Małgorzata Etmańska gospodyni chęczy (II rok UG) i Gracjan Klein, członek zarządu (IV rok UG).

Wszystkich studentów a także uczniów, którym nie jest obojętny los kaszubszczyzny zapraszamy do naszych szeregów.

Adres klubu: Biuro ZK-P, ul. Szewska 1/4, Gdańsk, tel. 31-32-35.

Eugeniusz Pryczkowski

MEDALE „TWÓRCOM HYMNU NARODOWEGO”

W gdańskim Ratuszu Głównomiejskim, w jego reprezentacyjnej Białej Sali wręczono uroczyste medale „Twórcom Hymnu Narodowego” (medal wybito w 1987 roku, w sto dziewięćdziesiątą rocznicę narodzin naszego hymnu). Dwa medale (brązowy i srebrny) przekazano do zbiorów Muzeum Historii Gdańska, na ręce jego gospodarza — dyrektora mgr. Adama Koperkiewicza. Dziękując za dar dyrektor oświadczył, że medale stanowić będą zaczątek ekspozycji muzeum, poświęconej twórcy „Mazurka Dąbrowskiego”. Jest to bardzo słuszna decyzja bowiem Józef Wybicki przebywał w Gdańsku parokrotnie, w tym osiem lat w Kolegium Jezuickim, i nie można sobie wręcz wyobrazić, by nie znajdowało to odbicia w zbiorach muzeum.

Adresatem medalu był także Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku, w którego imieniu odebrał Tadeusz Bolduan. Zrzeszenie ma bowiem olbrzymie, pionierskie zasługi dla popularyzacji wiedzy o Józefie Wybickim. M.in. przyczyniło się do wydania publikacji o twórcy hymnu, ufundowania tablic i pomników, organizowania sesji i innych imprez oraz do utworzenia Muzeum Hymnu Narodowego w Bedominie. (Wcześniej medalem tym uhonorowani zostali: Stanisław Pestka, autor brzoszury „Piórem i szabłą” oraz „Emisariusz niepodległości” i prezes Zarządu Głównego Zrzeszenia prof. dr hab. Józef Borzyszkowski).

Wielkie zasługi dla popularyzacji postaci Józefa Wybickiego ma również gdańskie środowisko naukowe. Medalem uhonorowano także jego reprezentantów: prof. dr. Andrzeja Bukowskiego, prof. dr. hab. Wacława Odyńca i prof. dr. hab. Edwina Rozenkranza, autorów prac naukowych i opracowań publicystycznych (wcześniej medal otrzymał prof. dr hab. Władysław Zajewski).

Spotkanie odbyło się 16 grudnia 1991 r. Połączone było z promocją nowego czasopisma pt. „Pieśń Skrzydlata”, wydawanego przez Stowarzyszenie „Mazurka Dąbrowskiego” w Gdańsku (ul. Sobótki 18). Każdy jego numer poświę-

cony będzie dziejom i tradycjom „Mazurka Dąbrowskiego” w innym państwie: na Litwie, Białorusi i Ukrainie, w Rosji, Austrii, Niemczech i innych.

Symboliczną lampką szampana wzniesiono toast za nowonarodzone „dziecko” — „Pieśń Skrzydlatą”.

Czesław Skonka

MEDAL DLA FERDINANDA NEUREITERA

Badacz literatury kaszubskiej, Austriak Ferdinand Neureiter, został wyróżniony medalem im. Bernarda Chrzanowskiego „Poruszył wiatr od morza”. Kapituła medalu w składzie: prof. Gerard Labuda (przewodniczący), redaktorzy — Anna Kościelecka, Tadeusz Bolduan, Paweł Dzianisz i wiceprezes Zarządu Głównego ZK-P Jerzy Kiedrowski przyznała to wysokie wyróżnienie Ferdinandowi Neureiterowi za rok 1991 „za pionierskie opracowanie historii literatury kaszubskiej i jej propagowanie na obszarze niemieckojęzycznym oraz wprowadzenie jej w obieg kultury ogólnoeuropejskiej”. W poprzednich latach medalem tym wyróżniono ks. prof. Janusza St. Pasierba z Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie oraz prof. Alfreda F. Majewicza z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Medal im. Bernarda Chrzanowskiego został ustanowiony przez Zarząd Główny ZK-P i stanowi wyróżnienie dla osób, zespołów lub instytucji działających poza terenem Pomorza na rzecz tego regionu i przyczyniających się do rozwoju kultury, nauki lub gospodarki.

Uroczystość wręczenia medalu Ferdinandowi Neureiterowi odbyła się 17 stycznia w Sali Białej Ratusza Głównomięskiego w Gdańsku. Licznie przybyłych gości powitał prezes Zrzeszenia prof. Józef Borzyszkowski. Po ogłoszeniu werdyktu kapituły i wręczeniu Ferdinandowi Neureiterowi medalu, red. Tadeusz Bolduan wygłosił laudację na cześć laureata, przedstawiając jego sylwetkę i dorobek twórczy. „Jestem i długo jeszcze będę oszołomiony tą nagrodą” — powiedział laureat, dziękując za wyróżnienie, a następnie w pięknej i dowcipnej gawędzie opowiedział swoją drogę do kaszubszczyzny. Listy gratulacyjne adresowane do Ferdinanda Neureitera przesłali m. in. ambasador Austrii w RP dr Gerhard Wagner oraz sufragani chełmiński bp Jan Szłaga. Gratulacje laureatowi złożyli także: sufragani gdański bp Zygmunt Pawłowicz, sufragani chełmiński bp Andrzej Śliwiński, konsul honorowy Królestwa Holandii w Gdańsku Wojciech Kolańczyk oraz ks. prof. Janusz St. Pasierb, który powiedział m. in.: „Laureat jest jednym z Europejczyków, którego zainteresowały małe kultury. To jest imperatyw, który ciąży na całej kulturze dzisiaj — ratowanie tego, co małe. To co autentyczne, jest właśnie małe i bliskie ziemi. Ocalenie

tych małych ojczyzn jest tym czym ratowanie środowiska naturalnego — czystości powietrza, wody, gleby”.

W uroczystości wzięła także udział i spotkała się z Ferdinandem Neureiterem Maria Boduszyńska-Borowikowa, pisarka z Sopotu, która przetłumaczyła z niemieckiego na polski „Historię literatury kaszubskiej”. Tego dnia w Sali Białej ratusza widzieliśmy także przedstawicieli PEN-Clubu, gdańskich uczeni oraz wielu reprezentantów oddziałów Zrzeszenia. Po gratulacjach i przemówieniach poezję i prozę kaszubską recytowali Mariola Gusman i Zbigniew Janowski. Uroczystość zakończyła się koncertem kameralnego zespołu fagocistów Filharmonii Bałtyckiej pod kierownictwem Józefa Raatza. Podczas koncertu zaprezentowano kilka miniatur muzycznych Wolfganga Amadeusza Mozarta.

(s.j.)

W 30. ROCZNICĘ ŚMIERCI KS. PPLK. JÓZEFA WRYCZY

Ks. pplk. Józef Wrycza, który był kapelanem Wojska Polskiego w okresie

międzywojennym i proboszczem wielowskiej parafii, a w czasie drugiej wojny prezesem Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, ostatnie lata życia spędził w Tucholi. W pamięci tucholan pozostał jako człowiek odważny (bardzo go nie lubiły komunistyczne władze), prawy i skromny. W 30 rocznicę śmierci księdza kanonika tucholanie licznie się spotkali przy jego grobie, gdzie stały się również poczty sztandarowe oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko — Pomorskiego z całych Kaszub.

W tym samym dniu, 7 grudnia 1991 r., odbyła się ceremonia nadania imienia ks. pplk. Józefa Wryczy tucholskiej Szkole Podstawowej Nr 1 i wręczenie jej uczniom sztandaru z podobizną patrona. Następnie ordynariusz chełmiński, ks. bp Marian Przykucki sztandar ten poświęcił. Przez biskupa została też poświęcona tablica pamiątkowa odsłonięta w szkole, gdzie uczniowie i nauczyciele przygotowali z tej okazji interesującą wystawę informującą o życiu i dokonaniach księdza pułkownika. Ks. Józef Wrycza zwyciężył w konkurencji — jeśli tak można powiedzieć — z dwoma nie-

DARY

Wymieniając nazwiska osób, nazwy instytucji, czasem bezimiennych ofiarodawców składamy nasze serdeczne podziękowania za pomoc finansową, za okazaną troskę o losy „Pomeranii”. Dziękujemy: Jerzemu Stachurskiemu z Gdańska — 4 000 zł; Stanisławowi Wickiemu z Kartuz — 26 000 zł; Ks. Bronisławowi Szymichowskiemu z Pomieczyna — 50 000 zł; Ks. Grzegorzowi Gólskiemu z Gdańska — 62 000 zł; Edmundowi Derze z Kartuz — 100 000 zł; Edmundowi Kamińskiemu z Wejherowa — 150 000 zł; Ks. Władysławowi Szulistowi z Gdańska — 190 000 zł; Witoldowi Nierzwickiemu z Gdańska — 200 000 zł; Adamowi Janta-Polczyńskiemu z Kanady — 250 000 zł; Edmundowi Kuklińskiemu z Gdyni — 3 000 000 zł; Urzędowi Gminy w Lipuszu — 500 000 zł; Urzędowi Miejskiemu z Helu — 500 000 zł; Urzędowi Gminy w Krokowej 1 000 000 zł; Urzędowi Gminy w Somolinie — 1 000 000 zł; Urzędowi Gminy w Sierakowicach — 1 000 000 zł; Urzędowi Gminy w Szemudzie — 3 000 000 zł; Urzędowi Gminy w Pucku — 3 000 000 zł.

Dziękujemy również współautorom naszego pisma, którzy zrezygnowali z honorarium autorskiego: Wojciechowi Wile z Gdańska, Edmundowi Kamińskiemu z Wejherowa, Ks. Kazimierzowi Raepke z Borzyszków, Augustynowi Klemensowi Hirsowskiemu z Kartuz, Zygmuntovi Orłowi z Władysławowa, Tadeuszowi Günther-Miekietyńskiemu z Gdańska, Stefanowi Fikusowi z Lęborka, Stanisławowi Cygiertowi z Pucka, Michałowi Woronieckiemu z Sopotu, Krystynie i Marianowi Frydom z Człuchowa — na łączną kwotę 1 135 000 zł.

Wyrazy wdzięczności kierujemy i do tych z Państwa, którzy powiększyli fundusze na działalność statutową ZK-P oraz włączyli się w dzieło budowy Domu Kaszubskiego: Kazimierzowi Grzędzickiemu z Gdańska — 10 000 zł; Józefowi Trzebiatowskiemu z Kanady — 242 600 zł; Cezaremu Obrecht-Prondzyńskiemu z Bytowa — 3 750 000 zł; Józefowi Borzyszkowskiemu z Gdańska — 7 600 000 zł.

Wszystkim serdecznie dziękujemy. Dary można przekazywać na konto Zarządu Głównego ZK-P: PKO I Odd. Gdańsk 19510-5890-132.

zwykle poważnymi kontrkandydatami: Józefem Piłsudskim i Tadeuszem Kościuską. To jego wybrała młodzież.

Po południu w Domu Kultury obradowali naukowcy i działacze, przybyli do Tucholi na sesję przygotowaną przez tamtejszy oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, poświęconą ruchowi oporu w latach ostatniej wojny na Pomorzu i losom Pomorzan bezpośrednio po wojnie wywozonym w głąb Związku Radzieckiego. Referentami sesji byli dr Konrad Ciechanowski i prof. dr hab. Włodzimierz Jastrzębski.

(i)

CZAS KARNAWAŁOWY W RUMI

7 stycznia odbyło się spotkanie opłatkowe członków Oddziału Miejskiego ZK-P w Rumi. Proboszcz parafii kościoła p. w. N. M. P. Wspomożenia Wiernych ksiądz J. Worek odprawił mszę św. w intencji członków oddziału, podczas której lekcję i modlitwę powszechną czytano po kaszubsku. W salce św. Jana Bosko można było obejrzeć wystawę kilkunastu obrazów L. Bieszke przedstawiających poszczególne stacje Kalwarii Wejherowskiej. Wystawa czynna jest przez kilka kolejnych niedziel. Natomiast przez cały czas w przykościelnym kiosku można kupić książki o tematyce kaszubskiej.

Po mszy św. i po połamaniu się opłatkami wszyscy zasiedli do stołów z ciastami. Śpiewano koledy (również kaszubskie). Wszystko pięknie przygotowała członkini naszego zarządu B. Dawidowska. 11 lutego w MDK odbędzie się zebranie ogólne członków, na które został zaproszony ksiądz Z. Kulwikowski, proboszcz z Żeliszewa, współwykonawca piosenek, pieśni i koled kaszubskich, nagranych na kilku wydanych kasetach magnetofonowych. Wygłosi prelekcję na temat „Kaszubi w Kanadzie”, połączoną z wyświetlaniem przezrocz, wykonanych podczas pobytu w Kanadzie.

W okresie karnawałowym członkowie naszego oddziału bawili się na dwóch zabawach tanecznych. Fragment jednej oglądaliśmy w „Rodnej ziemi”, była tłem lekcji „Gódome po kaszëbsku”. Na obu zabawach licytowano tort i trzy obrazy: L. Bieszka, A. Zwary i M. Cieślaka. Dochód z „licytacji” przeznaczony jest na wykonanie tablicy pamiątkowej, poświęconej przedwojennemu wójtowi Rumi H. Roszczyńskiemu, zamordowanemu jesienią 1939 r. w Piaśnicy

J. L.

REKLAMA „POMERANII” W „KUKÓWCE”

W krzyżówce w gazecie (dwutygodniku) Wspólnoty Samorządowej Gminy Luzino „Kukówka”, nr 15/91, jest hasło „Miesięcznik ZK-P”. Ja wiem, chodzi o „Pomeranię”. Dziękujemy za reklamę.

Kow.

PROSTUJE

Przepraszam księdza kanonika Jana Szwabę za podanie błędnego imienia i godności w informacji „Wójt gminy Przdółkowo zaprasza” zamieszczonej w nr. 10/91 „Pomeranii”.

Bogumiła Cirocka

KASZUBSKIE MSZE ŚWIĘTE:

80-384 **Gdańsk-Przymorze**, ul. Zwycięzców 19, tel. 52-03-93, kościół pw. NMP Królowej Różańca Świętego, w pierwszy wtorek miesiąca, g. 19.15;

81-197 **Gdynia-Babie Doly**, ul. Rybaków 2A, tel. 25-43-88, kościół pw. Matki Boskiej Liseńskiej Bolesnej Królowej Polski, w ostatnią niedzielę miesiąca, g. 12.15.

Prosimy o podobne informacje z innych parafii na Kaszubach.

TELEWIZJA POLSKA nadaje w programie II w co drugi piątek o godz. 18.30 magazyn kaszubski „Rodnô zemia”, a w nim kurs języka kaszubskiego „Gódome po kaszëbsku”.

POLSKIE RADIO nadaje w programie lokalnym gdańskim na częstotliwości 67,85 MHz (fale ultrakrótkie), w co drugą sobotę o godz. 14.05 magazyn kaszubski.

KASZUBSKIE MUZEA (w nawiasach ceny biletów ulgowych i normalnych oraz wysokość wynagrodzenia przewodnika; prosimy muzea o podawanie nam zmian i uzupełnień poniższych informacji):

Będomin, 83-422 Nowy Barkoczyn, tel. (0-58) 87-71-83, Hymnu Narodowego (3000, 6000, 25 000 zł): wt.-sob. 9-16, niedz. 10-16;

77-100 Bytów, ul. Zamkowa 2, tel. 26-23, Zachodniokaszubskie (1000 zł): codz. 10-15;

89-600 Chojnice, ul. Podmurna 1, tel. (198) 43-92 i ul. Drzymały 5, Historyczno-Etnograficzne (2000, 4000 zł): wt. 11-17, śr.-piąt. 10-15, sob. 9-14, niedz. 9-13 oraz 89-661 **Silno**, Chata Kaszubska (ceny jw.): czw. i piąt. 10-15, sob. 9-14;

80-338 Gdańsk-Oliwa, ul. Opacka 12, tel. 52-12-71 do 73, w. 18 i 19, Etnograficzne (3000, 6000, 30 000 zł): wt.-sob. 9-15, niedz. 10-15;

81-543 Gdynia, ul. Światowida 7, tel. 22-15-20. Zbiory księdza Jastaka, udostępniane na życzenie.

84-150 Hel, bulwar Nadmorski 2, tel. 75-05-52, Rybołówstwa (2500, 5000 zł): wt.-niedz. 9.30-16;

84-140 Jastarnia, ul. Mickiewicza 115, tel. 74-22-21, w. 245, Sprzętu Rybackiego (prywatne, właściciel Juliusz Struck), udostępniane na życzenie;

83-300 Kartuzy, ul. Kościarska 1, tel. 81-03-78, Kaszubskie (4000, 7000, 40 000 zł): wt.-piąt. 8-16, sob. 8-15;

84-300 Lębork, ul. Młynarska 14-15, tel. (0-59) 2-24-14 (2000, 3000 zł): wt.-czw. 10-17, piąt. i sob. 10-15, niedz. 9-14;

Prokowo, 83-300 Kartuzy, tel. 81-27-68, Kaszubska Izba Regionalna (prywatna, właściciel Franciszek Kowalewski), udostępniana na życzenie;

83-304 Przdółkowo, ul. Kartuska 21, tel. 81-96-98, Strażacka Izba Pamięci (opiekunowie: Wanda i Leon Deykowie), udostępniana na życzenie;

84-100 Puck, pl. Wolności 38, tel. 73-29-96 i ul. Wałowa 11, tel. 73-22-29, Ziemi Puckiej oraz **Nadole**, 84-250 Gniewino, tel. 72-76-44, Zagroda Gburska (2500, 5000, 25 000 zł): pon. oraz śr.-piąt. 9-15, sob. 9-16, niedz. 12-15;

84-100 Puck, ul. Morska 13, tel. 73-29-72, Małe Rybackie (prywatne, właściciel Józef Budzisz), udostępniane na życzenie;

Rozewie, 84-120 Władysławowo, tel. 74-95-42, Latarnictwa (1500, 3000 zł): pon.-sob. 9-12 i 14-17;

76-200 Słupsk, ul. Dominikańska 5, tel. (195) 2-40-81, Pomorza Środkowego oraz **Kłuki**, 76-214 Smołdzino, tel. (195) 11-63-44, Skansen Słowiński (3000, 5000, 20 000 zł): śr.-niedz. 10-15.30;

76-214 Smołdzino, ul. Bohaterów Warszawy 1, tel. (195) 11-62-04, Przyrodniczo-Leśne Słowińskiego Parku Narodowego (1500, 3000 zł), udostępniane na życzenie;

89-500 Tuchola, ul. Podgórna 1, tel. (15-574) 37-12, Borów Tucholskich (1500, 3000 zł): wt.-niedz. 10-15.30;

Wdzydze Kiszewskie, 83-406 Wąglikowce, tel. (0-58) 86-12-88, Park Etnograficzny (5000, 10 000, 30 000 zł — język kaszubski lub polski, 50 000 zł — inne języki): wt.-niedz. 9-15;

84-200 Wejherowo, ul. Sobieskiego 239, tel. 72-29-56, Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, udostępnianie zbiorów w czyteln: ul. Wałowa 14A, pon.-piąt. 8-15;

83-441 Wiele, tel. (198) 83-88-70, Ziemi Zaborskiej i Galeria Współczesnej Sztuki Ludowej Kaszub (1000, 2000 zł): wt.-piąt. 11-15, sob. 14-16;

84-120 Władysławowo, ul. Morska 6, tel. 74-06-85, Nadmorskiego Parku Krajobrazowego (500, 1000, 3000 zł) i Józefa Hallera (300, 600, 3000 zł): pon.-piąt. 9-15, sob. 9-12;

83-330 Żukowo, ul. Klasztorna 18, tel. 81-82-42, Parafialne, udostępniane na życzenie.

SKLEPIKI KASZUBSKIE oferujące m.in.

- wydawnictwa dotyczące Kaszub i Pomorza w języku kaszubskim i polskim oraz
- kasyety magnetofonowe z gadkami, pieśniami i piosenkami kaszubskimi: 77-100 **Bytów**, ul. Bauera 1A, stoisko w Zakładzie Usługowo-Handlowym „Dewocjonalia — Hafciarstwo” Ingi i Waldemara Machów, pon.-piąt. 10-17, 80-834 **Gdańsk**, ul. Szewska 1-4, tel. 31-32-35, sklepik oddziału ZK-P, pon.-piąt. 10-17, 84-200 **Wejherowo**, ul. Wałowa 16, sklepik oddziału ZK-P, śr. 16-18.

Kow.



GNIEW



Panorama Gniewa najpiękniejsza jest od południa. Płynąc Wisłą od strony Nowego, trudno oczy oderwać od rozłożonego na wzniesieniu miasta, któremu uroku przysparzają gotyckie mury zamku i kościoła świętego Mikołaja. Monumentalne budowle pozwalają domyślać się bogatej przeszłości.

W pierwszych wiekach naszego tysiąclecia była to okolica gęsto (na owe czasy) zaludniona. Na obszarze dzisiejszego miasta dwa grody strzegły przeprawy wiślanej, albowiem prowadziła tędy kupiecka droga na wschód. Opodal istniała także nie obwałowana osada rolniczo-rzemieślnicza. Życie biegło na ogół spokojnie, lecz od czasu ziemie nad Wdą i Wierzycą nawiedzali mieszkający za Wisłą Prusowie. Łupili i palili zagrody, krwawo rozprawiali się z kmieciami i często udawało się im umknąć przed pościgiem zbrojnych drużyn.

Pewnego razu mieszkańców gniewskiej osady zbudziło krążące nisko nad domostwami i głośno krzyżące stado mew. Noc była ciemna, lecz kiedy na chwilę wychylił się księżyc ludzie zobaczyli wielką liczbę płynących przez Wisłę czółen. Kobiety z dziećmi prędko schroniły się do grodu, zaś mężczyźni i wojowie z warowni powitali przybyszów na brzegu gradem strzał i kamieni. Wielu Prusów potopiło się w rzece, przeto na długie lata zaniechali niespodziewanych wizyt. Odtąd mieszkańcy Gniewa zachowali szczególną wdzięczność dla nadwodnych mew.

Jeśli by prawdę zawartą w podaniach mierzyć „szkiełkiem i okiem”, to pewnie wiele pereł ludowej literatury nie dotrwałoby do naszych czasów. Ale dlaczego mielibyśmy powątpiewać w mądrość wiślanych mew, skoro już dużo wcześniej tak znakomicie zapisały się w historii gęsi kapitołińskie? Prawdą bezsporną natomiast jest, że z chwilą lokacji miasta na prawie chełmińskim, co stało się w roku 1297, w herbie Gniewa umieszczony został rysunek stojącego ptaka, którego zidentyfikować można jako mewę. Upewnia o tym jedna z dwóch średniowiecznych pieczęci, na której ptak ów trzyma w dziobie rybę. Równocześnie używana była pieczęć mniejsza (tzw. sekretna), wyobrażająca mewę z uniesionymi skrzydłami, lecz bez ryby. Ponieważ identyczne godło posiadał komtur gniewski, heraldycy twierdzą, że w pierwotnym herbie Gniewa ryby nie było.

Badacze w ogóle utrzymują, iż mewa inną drogą trafiła do herbu miasta przy ujściu Wierzycy. Odzwierciedla ona jakoby niemiecką nazwę tego miasta — Mewe.

Jak wiadomo ziemia gniewska stała się pierwszym przyczółkiem Krzyżaków na lewobrzeżnym Pomorzu Gdańskim; otrzymali ją w 1276 roku z rąk księcia Sambora i w 1282 roku potwierdzili nadanie układem w Miliczu. Niezwłocznie ustanowili komturstwo i przystąpili do budowy zamku w Gniewie. Dla niemieckich przybyszów nazwa Gmiew, gdyż tak ona brzmiała według wszystkich (z jednym wyjątkiem) zapisów do połowy XV wieku, trudna była do wymówienia. Uprościli więc grupę spółgłoskową *Gm-*, odrzucając nagłosowe *g-* (tak samo jak przeinaczyli nazwę Gdańsk na Danzig). Po tym zabiegu fonetycznym pomorski Gmiew zamienił się w niemieckie Mewe, upodabniając się do wyrazu pospolitego die Möwe — mewa. Dla uczonych sprawa jest prosta: herb mówiący, powstały od nazwy miasta w niemieckiej postaci.

Podważyć wywodu nie sposób, a chciałoby się spojrzeć na kwestię nieco cieplej. Dlaczego na początku osada nazywała się Gmiew? Historycy języka wyjaśniają, że grupa *gm-* występowała w wyrazach oznaczających górę, wzniesienie i w przypadku naszym znajduje to potwierdzenie. Z drugiej strony jednak jest ów intrygujący wyjątek w dokumencie z 1282 roku, gdzie nazwa ma wyraźną formę „Gniew”.

Według legendy, która ze swej natury pomija pisane źródła, w zamierzchłych czasach poważniły się dwie siostry, wodne boginki Leniwna i Nogat. Obie zakochały się w młodym rybaku o pięknym głosie, lecz ten żartami zbywał zaloty, mówiąc, że nie może się zdecydować, którą z przecudnych istot ma wybrać. Zawrzały do siebie gniewem siostry i stąd nazwa Gniew pochodzi, bo przy ujściu Wierzycy to się działo. Nie chciały już żyć razem i niebawem podzieliły nurt Wisły — od miejsca zwanego Piekłem każda popłynęła w swoją stronę. Świadcami tych wydarzeń były mewy, które od wieków słuchają plusku wiślanych fal.

K.O.